MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 22 WARSZAWA, 23 MAJA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

JAKI BYŁ MOTYW ZAMACHU?

OD PIERWSZEJ chwili wybuchu 12 maja nad wypadkami zawisło niepokojące pytanie, jakie są motywy zamachu, jaki jego cel. *Cui bono*? Na pytanie to Polak nie ma dotąd jasnej odpowiedzi, gdy już spokój na ulicy, niestety spokój żałobny, gdy w oczach majaczą cyfry nie do wiary: 300 zabitych, tysiąc rannych! Zabitych i rannych w walce bratobójczej!

„Myśl Narodowa" rozpatrująca sprawy pod kątem kultury twórczości polskiej, ma prawo zadać sobie to pytanie, gdy relacje o zdarzeniach w organach przewrotu (Głos Prawdy) noszą tytuł: „wielki czyn marszałka Piłsudskiego i armji narodowej", gdy się podnosi twórcze dla Polski znaczenie przewrotu.

Pytanie to zaraz pierwszego dnia walk zadali samemu sprawcy zamachu dziennikarze. Słowa odpowiedzi były ogólnikowe i stawiały rzecz na gruncie pobudek idealizmu etycznego: „za wiele nieprawości"! Było to jedyne wyjaśnienie autentyczne ze źródła bezpośredniego. Ono też stało się podstawą późniejszych komunikatów urzędowych i komentarzy prasy, oddanej sprawie przewrotu. Komunikat urzędowej Pol. Agencji telegraficznej z d. 14 maja wyjaśnia istotę czynu, że miał on na celu „obronę wojska przed krzywdą", nawołuje ogół do pomocy, „aby społeczeństwo odetchnęło pod rządami ludzi dzielnych, mocnych i nieskazitelnych". „To, co się stało, kończy się komunikat — jest początkiem moralnego odrodzenia Państwa".

Ten sam motyw moralnego oczyszczenia przez cały czas walki wysuwała prasa przewrotowi oddana. Organ mniejszości narodowych „N. Kurjer Polski" 15 maja piórem red. St. Grossterna określa znaczenie czynu jako „program etyczny", z czego wyciąga wniosek, że wynikiem jego będzie „sprawiedliwość" dla mniejszości narodowych. To był pierwszy wierzchołek realności, jaki się wydobył z powodzi słów romantycznej treści. Dopiero po walce, gdy doszło do realizowania politycznego wyników militarnej przewagi coraz więcej zaczęło się ukazywać tego lądu, na którym się opierała rewolucja wojskowa.

Są to trzy kompleksy interesów: 1) punkt bezpośredniego wyjścia: wojsko samo z zupełnie niewyjaśnionym motywem interesu i celu, raczej jako fakt czynu, fakt ofiary złożonej dla bliżej nieznanych sobie celów, 2) kompleks interesów socjalno - rewolucyjnych, związanych nadziejami na przewrót i czynnie z przewrotem współdziałający (PPS.) i 3) kompleks interesów politycznych, sprzecznych z ideałem Polski mocarstwowej, który w drodze mozolnej ewolucji począł się już realizować w oparciu politycznem o rząd większości narodowej. Dla orjentacji można te grupy oznaczyć tytułami dzienników warszawskich, które wciągały przez propagandę opinję publiczną w akcję każdej grupy: 1) „Polska Zbrojna", 2) „Robotnik", 3) „Kurjer Poranny", „Nowy Kurjer Polski", „Głos Prawdy" i parę innych subsydjowanych brukowców. Do tej trzeciej grupy, nie bez logiki wewnętrznej, weszła właściwie już i „Polska Zbrojna", nabyta niedawno jakoby przez wydawców „Kurjera Poran.". Grupa ta odznaczała się wielkiemi środkami materjalnemi, krzykliwością uliczną i bezceremonjalnem traktowaniem prawdy.

Otóż, gdy doszło do formowania nowego rządu po przewrocie, panem sytuacji stała się ta trzecia grupa, nazywająca się demokracją polską i walcząca o wolność powszechną. Ona wyłoniła z siebie rząd. O pierwszej grupie nie umiemy i nie chcemy mówić, jaki jest jej pogląd na sposób realizowania zwycięstwa w drodze konstytucyjnej. Druga grupa w szeregu rezolucyj zastrzegła się przeciw takiemu rozwiązywaniu przewrotu i zapowiada dalsze prowadzenie dzieła w drodze rewolucji socjalnej. Jedyna styczna grupy socjalnej z trzecią polityczną jest ta, że obie warują nową erę w stosunku do mniejszości narodowych.

Teraz dopiero w związku z budową nowego rządu, prasa trzeciej grupy ujawniła główny motyw przewrotu. Jest to motyw polityki polskiej w stosunku do innych narodowości wewnątrz kraju i w stosunkach zagranicznych. „Nowy Kurjer Polski", nie schodząc zresztą z drogi nadanej mu przez b. ministra hr. Al. Skrzyńskiego, najdobitniej ten moment uwydatnił. Utrzymuje on (16 maja), że ów motyw.... moralny, o którym wyżej, zarówno sam Piłsudski, jak i rząd obecny, do którego teraz wchodzi, czerpali i czerpać będą ze źródła międzynarodowego.

> „Rząd ten będzie czerpać swą siłą na wewnątrz i zapewniać potęgę l olski (Polsce?) na zewnątrz z niewyczerpanej krynicy moralności w stosunkach międzyludzkich i międzynarodowych. W imię tej moralności Marszałek Piłsudzki wszedł na czele swych mężnych, bohaterskich żołnierzy do Warszawy"...

Wyznanie to kończy się formułą znamienną: że „dusza demokracji polskiej" tak urządzi „Najjaśniejszą Rzeczpospolitą", aby „zabłysnęła ku chwale i pożytkowi wszystkich swoich obywateli i ku zadowoleni wszystkich państw i narodów świata".

Z formuły tej wynika, że celem polityki polskiej mau być to, aby z niej „zadowolone" były wszystkie państwa i narody i żeby z tego mieli pożytek osobisty obywatele polskich rozłogów środkowo europejskich.

Budowa nowego rządu z p. Augustem Zaleskim jako ministrem spraw zagranicznych, który ten program zadowolenia państw obcych i pożytku obywateli wykonywał podczas wojny wespół z p. Lednickim, ma fasadę w stylu wyżej naszkicowanym. To rozpoznanie stylu opieramy na znajomości ludzi i grup, które na rząd ten się złożyły. Miały one sposobność już przedtem zaznajomić nas ze swemi widokami na rozwój stosunków w Europie, w której jakoby pojęcia narodu i mocarstwa narodowego wkrótce zaginą. „Prawica" ze swojemi ambicjami Polski mocarstwowej, jako państwa narodowego, mogła przeszkodzić realizowaniu tamtego ideału. Należało to niebezpieczeństwo zażegnać za wszelką cenę, choćby hekatombą w walce z rodakami. Wielka gra, wielka stawka.

Niemcy, które zawsze dobrze znały nasze stosunki i naszych ludzi, jak się dowiadujemy z telegramów PAT-a, z zadowoleniem przyjęły wiadomość o przewrocie. „*Vossische Zeitung*" (15.V.) zapowiada Polsce trudną sytuację finansową „pod kontrolą Ligi Narodów". „Zamach wojskowy został zwycięsko zakończony, najważniejszy jednak etap dopiero nastąpi". Przepowiada zawikłanie w stosunkach z Rosją, Józef Piłsudski, bowiem przeprowadzając swój program federacyjny, będzie się domagał terytorjów białoruskich i ukraińskich.

Nieokreślony pozytywnie moment idealizmu etycznego wymagał, niestety, uzasadnienia negatywnego przez rzucenie cienia na moralność obalonego rządu prawicowego. Cały wywód etycznego hasła wyprowadzono popularnie z tego, że tamten rząd składał się jakoby ze „złodziei". Stała się wielka krzywda moralna narodowi, który tamten rząd zaufaniem darzył, krzywda ludziom, cięższa niż robią kule. I niepotrzebna. Tylko brak odwagi cywilnej nie pozwolił wyznać odrazu istotnego motywu zamierzeń.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NARÓD, KTÓRY POLUBIŁ WYGODĘ

II

ILOŚĆ zawieranych małżeństw we Francji jest normalna (nb. w stosunku do innych narodów) i to wzbudza u niektórych wiele radości. Bureau nie łudzi się, jakoby miało to oznaczać silny stan pragnień życia rodzinnego. Praktyka rozwodowa jest tak ułatwiona, że węzły małżeńskie nie wydają się wcale ciężkiemi. Kara za cudzołóstwo w praktyce nie jest stosowana wcale. W roku zaś 1904 zostało zniesione zastrzeżenie, że osobom rozwiedzionym na podstawie dowiedzionego cudzołóstwa nie wolno wchodzić w związek małżeński ze wspólnikiem swej zdrady małżeńskiej. W ten sposób zdrada małżeńska przestaje być, jak podnosi Bureau, występkiem, a staje się prostą antycypacją aktu legalnego. Podobneż obluzowanie wymagań nastąpiło w zakresie zastrzeżenia o dwustronnem żądaniu rozwodu; w praktyce sądowej coraz częściej rozwód zostaje orzeczony na podstawie żądania faktycznie jednostronnego.

Inicjatorowie ustawodawstwa rozwodowego w r. 1884 (m. in. Dumas syn) mniemali, że liczba rozwodów po upływie pierwszych lat od wprowadzenia reformy nie będzie spadać, skoro skorzystają z reformy przedewszystkiem małżeństwa, żyjące w niezgodzie naprawdę nieuleczalnej; po wyczerpaniu tego zapasu miało nastąpić względne uspokojenie. Okazało się całkiem inaczej. Gdy w r. 1886 było rozwodów 4,123, to w latach 1912 i 1913 było ich już po 16 tys. z nadwyżką. Liczba separacyj natomiast utrzymuje się w tym przeciągu czasu na stopie jednostajnej—od 2 do $2^3/_4$ tys. rocznie. Cyfry te są wymowne. Separacja jest—jak widać—uwarunkowana przyczynami stałemi, można rzec, naturalnemi; ludzie nie mający nadziei wejście w powtórny związek małżeński, decydują się na nią tylko w ostateczności i właśnie mniej więcej jednostajna kwalifikacja tej ostateczności świadczy, iż nie gra tu roli kaprys ani moda, natomiast instytucja rozwodu, zabezpieczająca możność powtórnego małżeństwa, sama w sobie niesie pokusę lekkomyślnego z niej korzystania.

Dodajmy tolerancję opinji dla związków nielegalnych poza małżeństwem, szeroką współpracę teatru i literatury w ośmieszaniu „zacofanych poglądów" na małżeństwo, przyczem małżonków, zazdrosnych o wyłączność swoich praw, traktuje się—za klasycznym wzorem George Sand—jako pospolitych i egoistów, dodajmy wreszcie zmaterjalizowanie samego małżeństwa, pojmowanego „bez lirycznej hypokryzji", wyłącznie jako związek wygody gospodarczej czy seksualnej—a otrzymany całokształt czynników, godzących bezpośrednio w trwałość rodziny, opartej na monogamicznem małżeństwie.

Pośrednio, czy to opóźniając wstąpienie w związek małżeński, czy ułatwiając życie erotyczne na wypadek jego rozerwania, czy wreszcie wytwarzając wrogie jej środowisko moralne, działają przeciw rodzinie: prostytucja, pornografja, kult nagości.

Prostytucja posługuje się wszelkiemi sposobami reklamy, przy współudziale działu ogłoszeniowego niektórych dzienników i pism ilustrowanych, jak np. „*Vie Parisienne*". W Paryżu na krótki czas przed wojną powstała agencja stręczycielska, oparta na zasadzie, że każda kobieta, bez względu na sytuację społeczną i na opinję, może być do dyspozycji; ktoś, kto miał sposobność czytać listę osób, zgłaszających się do tej „firmy", zapewnia, że niektóre oferty są prawdziwie rewelacyjne. O dezynwolturze moralnej w tym kierunku świadczyły takie fakty, jak utrzymywanie domów rozpusty przez rozmaitych „szanujących się" przemysłowców, np. w jednem z miast prowincjonalnych pierwszorzędny krawiec ubocznie pomagał sobie w taki sposób, a przy okazji pewnej afery okazało się nawet, że jeden z posłów nie gardził zarobkiem tego rodzaju... Ogółem określają liczbę kobiet upadłych na 500,000, co przy ludności Francji z r. 1913 wynosi 1 na 7 głów. Wreszcie wskazuje Bureau na potężną międzynarodową organizację handlu żywym towarem, mającą swe centrale w Ameryce Półn. i Poł., agencje, adwokatów, swój szyfr telegraficzny i t. d., która i Francję objęła swemi mackami. O rozmiarach „przemysłu pornograficznego" niech świadczy fakt, że kiedy policja paryska położyła w r. 1909 rękę na jednem z przedsiębiorstw tego rodzaju, to do przewiezienia samych klisz pornograficznych trzeba było wozu ciężarowego, ciągnionego przez dwa konie. Beletrystyka, „wydawnictwa naukowe", pisma, pocztówki, niedwuznaczne ogłoszenia i różnego rodzaju katalogi, teatr, rewja i panoptikon, kino, mają tu swoje miejsce.

Z kultem nagości na scenie policja początkowo próbowała walczyć. Gdy jednak ekshibicje nagości znajdowały wysokich protektorów, dała z biegiem czasu za wygraną. Pewien pisarz z Akademji, wezwany jako rzeczoznawca w procesie, wytoczonym dyrektorowi jednego z teatrzyków, złożył oświadczenie, że „wrażenie było wyłącznie estetyczne". Sąd, idąc za opinją znawcy estetyki, wydał wyrok uwalniający.

W kraju o tak wysokim poziomie intelektualnym jak Francja, nic się nie dzieje bez teorji. Cytowany już Paul Adam, w dziele p. t. „Etyka miłości", w imię „tężyzny rasy łacińskiej" rzuca hasło młodym: „Dla każdej przyjemności nowa współbiesiednica" — „*pour chaque instant du plaisir, une convive nouvelle*"! Bataille propaguje miłość wolną, nietylko w znaczeniu dotychczasowem, ale w znaczeniu doszczętnego wyzbycia się wszelkich przesądów, wszelkich słabostek... Pierre Louys daje specjalną historjozofję: „Wszystkie wielkie stolice świata, Babilon, Aleksandrja, Ateny, Rzym, Wenecja, Paryż im były potężniejsze, tem bardziej wyuzdane; zdaje się, że można wypowiedzieć prawo ogólne, iż rozluźnienie moralne potrzebne jest społeczeństwu do świetności. Społeczeństwa, którym udało się zaszczepić cnotę sztuczną, ograniczoną, jałową, były od pierwszej chwili skazane na całkowity uwiąd"...

Z młodzieńczą werwą i mocnymi akcentami podejmują te hasło inni: w oficjalnym biuletynie „Powszechnego związku studentów" w Paryżu (w r. 1913) drukuje się z aprobatą taka uchwała zebrania słuchaczy medycyny: „Przyjdzie dzień, kiedy bez przechwałek cynicznych, ale i bez tępego wstydu, będzie się mówiło: chorowałem na k... mając lat 20, jak dziś mówi się „wyjechałem na wieś ze względu na stan płuc"... Ktokolwiek przeszedł swą młodość bez narażania się na infekcje, będące jakby okupem rozkoszy, ten jest człowiekiem niezupełnym, który przez małoduszność, oziębłość, lub skrupuł religijny zaniedbuje żyć naturalnie"... i t. d. Na razie, jak Bureau podaje, w czasie wojny 70,000 żołnierzy pozostawało za frontem, lecząc się...

Jeśli w atmosferze takich przekonań degeneracja jeszcze krępuje się wystąpić otwarcie z reklamacją swych „praw" (nawpół jawnie uprawiając zresztą propagandę zapomocą konferencyj po niektórych kawiarniach), to — Bureau powiada — jedyną kwestją interesującą jest tu pytanie, czy reklamacja taka jest lub nie jest w zgodzie z logiką tendencyj, składających się na anarchję obycza

jową, a dających się sprowadzić do jednej zasady: oderwanie używania seksualnego od idei rodziny. Na zasadzie wprost przeciwnej opiera się moralność tradycyjna, moralność opanowania się i wytrwałości.

Przeciwko domaganiu się z takim tupetem „prawa do szczęścia“, Bureau staje w obronie prawa dziecka: Dziecko ma prawo do przyjścia na świat w rodzinie, do posiadania obojga rodziców, do wychowania się w atmosferze czystości i zaufania. I zapytuje dalej: Skąd społeczeństwo żyjące na zasadach wolnej miłości, społeczeństwo, które usunie instytucję trwałej rodziny, znajdzie tyle osób ofiarnych, któreby cudzym dzieciom po zakładach państwowych oddały się całe dnie? Któż tym dzieciom zastąpi pieczołowitość rodziców, skoro sama idea obowiązków rodzicielskich zostanie w psychice społecznej poderwana?

Paul Bureau, myśliciel zdecydowanie religijny, żąda w myśl przykazania miłości bliźniego solidarności moralnej społeczeństwa. Rodzina, życie małżeńskie daje rozkosze, ale też okupuje je obowiązkami; i tak np. ludzie separowani, nie mogący wstąpić w ponowny związek małżeński, jeśli cierpią z tego powodu, to, poddając się ze stoicyzmem losowi, działają tem samem twórczo, a mianowicie przyczyniają się do podniesienia i utrwalenia instytucji małżeństwa. Ludzie żyjący w celibacie i czystości dla idei, przykładem swego opanowania się powiększają społeczną energję opanowawczą, więc nietylko stanowią przykład budujący i pocieszający dla tych, którym los, wbrew ich pragnieniu, poskąpił wejścia w związki małżeńskie, lecz i dla małżeństw stanowią wzór moralny, stanowiący pobudkę do wytrwania w wierności. Oto jest m o r a l n o ś ć s p ó j n a *(morale cohérante)*: Nietylko każde zagadnienie etyczne rozważa się z punktu widzenia całości życia moralnego, uwzględnia się jego promieniowanie na wszystkie inne dziedziny psychiczne i społeczne, lecz i działa się w głębokiem przeświadczeniu, że żadna ofiara indywidualna dla idei nie jest zmarnowana, że się kosztem swojej rezygnacji buduje wartości trwałe: surowa, męska, ale zarazem pełna pieczołowitości moralność.

*

* *

Dla obrony i rozwoju moralności spójnej, opartej na normach odpowiedzialności i solidarności międzyludzkiej, Bureau pragnąłby widzieć nową *„union sacrée“* ludzi dobrej woli, bez względu na poglądy praktyczne i metafizyczne. Podnieśmy ten postulat, godny wielkiej uwagi; zarysowuje się tu ta świadomość, którą niewątpliwie prędzej czy później zwycięży, że istotnemi antagonizmami w społeczeństwie winny być nie formalne różnice w kwestjach społeczno-politycznych, ale sprzeczności co do samej treści życia, spory o typ duchowy, typ łatwizny czy tężyzny.

Jeśli walka o ten ostatni typ jest „prawicowością“, i jeśli prawicowość nie potępia w czambuł wszystkich form przeszłości historycznej, owszem niektóre z nich byłaby skłonna widzieć w nowej przerobionej edycji (hierarchja!), to z tem wszystkiem nie ma żadnego powodu dać się wyprzedzić komukolwiek w trosce o konkretnego człowieka, jego materjalny byt i jego warunki jaknajlepszego rozwoju. Z chwilą, gdy ta psychika zwycięży na prawicy, a na lewicy przyjdą ludzie do przekonania, że postęp społeczny nie ma nic wspólnego z całą ideologją łatwizny duchowej, powstaną nowe ugrupowania, umocni się nowy, a dla rozwoju życia społecznego zbawienny front na dwie strony, przeciw nieuleczalnym demagogom i nieuleczalnym zacofańcom, przeciw klasowcom z lewa i z prawa. Bureau, właśnie ten entuzjastyczny tradycjonalista moralny, nie ma doprawdy nic wspólnego z zacofańcami społecznymi i zwraca się do nich z taką wymowną admonicją: „Dzieci tradycji, obrońcy „moralności wieczystej“ zbyt często zapoznają o materjalnem uwarunkowaniu życia moralnego; obojętność taka nietylko że jest daleka od przysługiwania się drogiej im sprawie moralnej, lecz przeciwnie jest dla tej sprawy złowroga. Ona dyskredytuje kaznodziejów, każe wątpić w ich szczerość lub inteligencję; obojętność na materjalną dolę człowieka nigdy nie była udziałem dusz najszlachetniejszych, nigdy nie była wyznawana przez świętych; ona znacznie bardziej wypływa z twardości serca i lenistwa umysłu, niż z potrzeby integralnej obrony moralności zagrożonej“. Przestrzegając obrońców moralności tradycyjnej przed wiązaniem się z obrońcami pozycyj politycznych straconych, Bureau wyraża przekonanie, że musi znaleźć się „wyjście zarówno z pośród beztroski zadowolonego burżujstwa *(bourgeosisme satisfait)*, jak i dziecinnych pomysłów rewolucyjnego kolektywizmu“ (str. 603). Bureau podnosi potrzebę: 1) zgodnie z innymi głosu pluralnego dla ojców rodzin (*vote familial*), w nadziei, że interesy dziecka i rodziny znajdą w ten sposób lepszy wyraz w ustawodawstwie, 2) reformy podatkowej obciążającej bezdzietnych i małodzietnych, ulgowej dla wielodzietnych, 3) poprawy stosunków mieszkaniowych, dziś, jak podnosi, fatalnych i innych ulg np. wojskowych dla rodzin licznych, przedewszystkiem jednak wielkiej przemiany pojęć o płacy, która obliczana być winna z punktu widzenia potrzeb (nb. racjonalne określonych) pracownika; wtedy oczywiście rodzina zagóruje nad samotnymi. „Nadpłaca rodzinna“ (*sursalaire familial*), jak Bureau podaje, zostało we Francji gdzieniegdzie z dobrym skutkiem zastosowana. Powyższa idea płac jest, jak wiadomo, zgodna z klasycznemi tendencjami myślicieli gospodarczych chrześcijańskich.

Z tem wszystkiem, powyższe postulaty—i Bureau sam to przyznaje—nastręczają pewne wątpliwości, a przedewszystkiem nie sięgają w sedno palącej we Francji kwestji wyludnienia. O ile trzeba, i to jest obowiązkiem, ułatwić szerokim masom wyżwienie i wychowanie licznego potomstwa, to jednak należy zdać sobie sprawę, że żadnemi korzyściami materjalnemi ludzi nie skłoni się do rodzicielstwa, że ponadto zasiłki, zapomogi, nagrody dla wielodzietnych i t. p. projekty mają założenie, że tych wielodzietnych jest niewielu. Społeczeństwo nie może sprawy podtrzymania rasy traktować z punktu widzenia „p r o d u k c j i d z i e c i“, musi w niem zajść głęboka przemiana pojęć w stosunku do dziecka i do idei rodziny i czystości. Wbrew optymizmowi niektórych wolnomyślicieli, Bureau stwierdza, że „czystość dziewic, wierność małżonek, płodność matek“ nie jest niczem naturalnem, ale musi być podtrzymywana i rozwijana przy pomocy całej atmosfery duchowej społeczeństwa.

Bureau stawia przed Francją powojenną pytanie: „Czy my, nieporównani żołnierze wczoraj, zdołamy jutro, wytworzyć społeczeństwo organiczne, spójne, obdarzone siłą, potęgą, dynamiką, słowem zorjentowane ku życiu, zdolne pośród innych narodów utrzymać tę rolę, do jakiej jesteśmy zobowiązani, do jakiej sam interes ludzkości nas wzywa?“ Brak głosu francuskiego z wielkiej symfonji ludzkości dałby się odczuć niewątpliwie. Francja nie może być mała. Jeśli nie pozostanie wielkim narodem, wielkim liczbą, wielkim ekspansją, wielkim moralnie, to Francuzi zejdą na bydło robocze swoich sąsiadów. Niema innego wyboru.

My, Polacy, możemy w całej pełni to odważne ostrzeżenie zastosować do siebie.

Ludzie z innych narodów czytając szczerze i tragicznie zatroskane dzieła Pawła Bureau, nie powinni unosić się małoduszną chełpliwością. Przedewszystkiem stwierdza on, że we Francji nie brak symptomów moralnego odrodzenia. Dziś już rodzina liczna i pracowita, która znajduje też grosz na cele miłosierne i ideowe, jest mniejszą rzadkością, niż przed laty kilkudziesięciu. Tym ludziom Bureau poświęca wymowne karty: oni ocalają Francję.

Ale zarazem pamiętać należy, że choroby moralne, specjalnie akcentowane we Francji, dolegają przecież całej cywilizacji. Rodzina amerykańska jest bardzo zachwiana, spadek liczby urodzin ma od kilkudziesięciu lat miejsce w Anglji i jej kolonjach, wyuzdanie niemieckie znane jest ogólnie, a taki „Berlin ze swoim nizkim materjalizmem i ordynarnym luksusem jest jednem z najbardziej zdemoralizowanych miast świata.“ Dla nas, Polaków, znajdujących się w sytuacji dziejowej całkiem wyjątkowej, musi być również wyjątkowo interesujące to wszystko, co odnosi się do sprawy tężyzny lub zniedołężnienia rasy.

Nie bez przykrości wyrażamy na jednym i jedynym punkcie wątpliwość. Bureau, któremu bynajmniej nie są obce ostrzeżenia Mathusa i który, zwalczając tendencje depopalacyjne, nie przymyka ucha na możliwość przeludnienia, względnie na straszliwe korektywy naturalne przyrostu, jakiemi są głód, epidemje i wiele innych „subtelniejszych sposobów umierania“—podtrzymuje z całym naciskiem tezę, że jedynie „*moral restreint*“ jest tu dopuszczalny i że wszelkie ustępstwo na rzecz neomaltazjamizmu nawet w małżeństwach wielodzietnych rujnuje moralność spójną. Tu trzeba prawdzie spojrzeć odważnie w oczy i w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem przyznać, że źle byłoby z narodem, którego ocalenie zależałoby od świętości szerokich mas. Tu trzeba się zadowolić normą dzielności, tężyzny, przezwyciężania wygodnictwa. Człowiek zwykły — a takim operuje myśl praktyczna — zbliża się do świętości poprzez dzielność.

Po powyższem zestrzeżeniu tem mocniej podkreślić należy, że z tem wszystkiem wszelkie próby propagandy neomaltuzjańskiej u nas byłyby nietylko niepotrzebne, ale stanowczo szkodliwe. Specjalne zwracanie uwagi na tę „klapę bezpieczeństwa“ jest zbędne; a przytem zmierzałoby przedewszystkiem do wytworzenia „psychiki neomaltuzjańskiej“, która tych rzeczy nie traktuje jako „*malum necessarium*“, ale jako zasadę życia seksualnego, rodzicielstwo uważając za wyjątkowe. Propaganda neomaltuzjańska, jaką wyżej okazywaliśmy według Bureau, ma pod rozmaitemi względami cechy prowokacyjne. I wogóle w rozważaniu tych spraw należy bardzo się liczyć z tym właśnie czynnikiem prowokacji, niepotrzebnem rozbudzaniem wyobrażeń, które raz obudzone dążą już *per fas et nefas* do realizacji. I tak szkodliwe jest specjalne uświadamianie płciowe młodzieży zapomocą konferencyj, obrazów i t. p.; tutaj raczej należy — Bureau podnosi to razem z Foersterem, na którym często się opiera — odciążać zainteresowanie dziecka, ewentualnie nadawać mu pożądany kierunek, np. budzić u chłopców rycerskość względem kobiet i t. p. Odnośnie do wolnego macierzyństwa trzeba stwierdzić, że propaganda za jego funkcjonowaniem społecznem nietylko wywoływałoby katastrofalne wypadki z tej dziedziny, ale ponadto sankcja macierzyństwa bez męża, byłaby *de facto* i *eo ipso* sankcją ojcostwa bez odpowiedzialności. Wreszcie w kwestji rozwodów stały wzrost ilości ich świadczy, że możność rozwodu zawiera w sobie moment prowokacyjny, i to w dwuch kierunkach. Już to wykolejając wysiłki i nadzieje przywrócenia zgody między małżonkami, już to sankcjonując możnością przyszłego ulegalizowania ślubem zdradę małżeńską. W dzisiejszej anarchji stosunków małżeńskich w Polsce uspakajanie sumienia, zwłaszcza kobiety, przez pragnącego nawiązać miłostkę cudzego męża metodą obietnicy „pobierzemy się“ jest wcale popularne. Wreszcie zaznaczyć trzeba, że rozwód jest instrumentem w rękach strony raczej gorszej, niż lepszej oraz, że rozerwalność małżeństwa przyczynia się do lekkomyślności przy zawieraniu.

Sprawa nierozerwalności małżeństwa jest dziś u nas, ze względu na mające nastąpić obrady sejmowe nad nią, aktualna, może zaś być zepchnięta na tory nieodpowiednie. Gdy z jednej strony słyszy się argumenty trącące epoką walk o inwestyturę, z drugiej już wsiada się na konika „klerykalnego niebezpieczeństwa“. Tymczasem, w tej mocno zabagnionej dziedzinie, kwestja cała da się sprowadzić do paru prostych, objektywnych zasad:

1) Państwo przez rejestrację legalizuje zawiązanie i rozwiązanie małżeństwa, zgłoszonego przez właściwą władzę, jako dokonane we właściwy sposób (t. zn. według własnych, przez państwo akceptowanych praw, oraz w zgodzie z ustawodawstwem państwowem).

2) Do zawierania małżeństwa kompetentna jest władza duchowna tego wyznania, do którego należy przynajmniej jedno ze wstępujących w związek; (wybór władzy może zasadniczo pozostać fakultatywny, lub zostać w pewien sposób, np. na zasadzie ustalonego pierwszeństwa wyznań, wyznaczony); dla bezwyznaniowych uprawocniona jest gmina bezwyznaniowa, lub w razie braku jej istnienia — państwo.

3) Rozwiązać małżeństwo zdolna jest tylko ta władza, która je zawiązała.

Państwo (przy pomocy rzeczonej rejestracji) czuwa nad tem, ale osoby, których małżeństwo nie zostało rozwiązane, nie wstępowały w ponowny związek. (Pozostałaby jeszcze kwestja rozwodu bezwyznaniowych, *de facto*, ze względu na niewielką ilość osób tej kategorji, mniejszej wagi).

Tym sposobem zostałaby w pełni zachowana rola państwa, jako organu suwerennego harmonizacji interesów wolności sumienia jednostek, oraz autonomja wyznań, z jednej strony; ale z drugiej strony olbrzymia większość społeczeństwa, bo prawie wszyscy lub zgoła wszyscy (w razie przyjęcia pewnych precyzji do punktu 2. katolicy zostaliby poddani nie znającemu rozwodu prawodawstwu kościoła katolickiego. Zasady objektywne z pewnością mogą wywołać niechęć ze strony tych ludzi, dla których sprawa suwerenności państwa nie została jeszcze pozytywnie i bez reszty przesądzona; i ze strony tych, którzy nie mogą znieść tego, że prym bierze idea małżeństwa katolicka. Ale tu nie idzie o próbę sił, ani między kościołem i państwem, ani między klerykalizmem lub antyklerykalizmem, lecz o podparcie lub nadwątlenie — rodziny. I za szkodliwe trzeba zgóry uznać to wszystko, cokolwiek zdolne jest przyciemnić istotę sporu.

Nie potrzeba być zawodowym optymistą, aby sprawę między moralnością wysiłkową a moralnością wygody rozstrzygnąć na rzecz tej pierwszej; ona przedsięwzięcia udane wynagradza stokrotnie; ale i tendencja raczej pesymistyczna w kazuistycznem rozważaniu tych spraw daje w końcu przedświadczenie, że oba te typy moralności są wielkemi eksperymentami; ale że wybór między niemi świadczy o młodości i odwadze, lub o przeżyciu i defetyzmie—człowieka i narodu.

K. L. KONIŃSKI

JAK SIĘ PISZE HISTORJĘ SPÓŁCZESNĄ

Wbrew głosom pewnego gatunku agnostyków, którzy poznanie historyczne najbliższej przeszłości uważają za przedwczesne i niemożliwe, wykazywaliśmy niedawno*), że t. zwaną historję spółczesną badać można i trzeba, że trudności związane z takiem badaniem są tylko względnie większe, niż przy badaniu epok odleglejszych, że prób takich nie brakło u nas w żadnem pokoleniu i nie powinno ich brakować za naszych dni, jeżeli nie chcemy, aby opinja publiczna czerpała samowiedzę dziejową z tendencyjnych elukubracyj dziennikarzy i pamflecistów.

Poniżej spróbujemy odpowiedzieć na pytanie: jak się pisze historję spółczesną, t. j. historję żyjącego pokolenia?

Obowiązują tu te same zasady, co i na terenie wszelkiego dziejopisarstwa, lecz obok nich są inne prawidła, wynikające ze specjalnej natury przedmiotu.

1. Kto chce poznać swoją epokę, powinien nietylko dbać o przechowanie źródeł gotowych, ale mnożyć je sztucznie. Kiedy w Wiedniu powstało wśród uchodźców za sprawą O. Balzera, Wł. Semkowicza i in. uczonych Archiwum Wojenne, bardzo słusznie zachęcano wojskowych i polityków do pisania pamiętników oraz dzienników. Wielką zasługę ma zmarły Józef Dąbrowski (Grabiec), przez to że nam ocalił od zapomnienia „Czerwoną Warszawę" z przed lat trzydziestu. Uzupełnićby należało ten obraz wspomnieniami działacza kierunku narodowego, odtworzyćby warto całą sieć tajnych organizacyj i kółek, w których wychowywała się młodzież, powołana wyrokiem losu do odbudowania Państwa Polskiego.

2. Niepodobna pisać dziejów spółczesnych, nie czerpiąc z ustnej tradycji. Czynił to umiejętnie Wilhelm Feldman, po nim K. Srokowski, autor „N.K.N-u"; bardzo słabo posługiwali się tem źródłem Kutrzeba i Bobrzyński. Oczywiście nie każdy zechce opowiadać każdemu swoje tajemnice; bądź co bądź badacz, który się poświęci tego rodzaju dociekaniom bez tendencji politycznej, i który zyska dostęp do kilku informatorów z różnych obozów, coraz to łatwiej przeprowadzać będzie dalsze wywiady. Nieufni politycy zrozumieją, że lepiej oświetlić przeszłość po swojemu, niż odsyłać natrętnego badacza do przeciwników politycznych. Tak z zaufaniem zwierzali się Rulhière'owi przedstawiciele różnych prądów w naszej pierwszej emigracji.

3. Wywiady wśród żywych nietylko prowadzą do utrwalenia wspomnień, ale je ożywiają i wzbogacają. Przekonaliśmy się o tem dowodnie w Komisji rzeczoznawców, która badała zarzuty Marszałka Piłsudskiego przeciwko Biuru Historycznemu Sztabu Generalnego. Niejeden świadek z początku mówił niedokładnie, mylił się co do dat i związku wypadków. Dopiero gdy mu pokazywano akt pisemny — depeszę, rozmowę hughesową, dziennik podawczy, protokuł, nietylko znikały niedokładności, ale odtwarzały się w jego pamięci całe szeregi faktów, któreby bez naszej pomocy zaginęły bezpowrotnie. Tak samo jeden świadek nietylko kontrolował zeznania drugiego, ale rozbudzał w nim pamięć. Możnaby ten sposób nazwać metodą anamnezy.

4. Gdy chodzi o usuwanie sprzeczności i luk w źródłach do dziejów spółczesnych, możliwe są różne metody postępowania i badacz powinien je wybierać umiejętnie, zależnie od ludzi, wśród których się obraca. Może on wybrać taktykę dziennikarza-interwiewera, taktykę detektywa, sędziego śledczego lub sędziego orzekającego. Czasem można się uciec do konfrontacji, albo badać świadka z dokumentami w ręku; kiedyindziej taki sposób może onieśmielić drażliwego rozmówcę. Czasami lepiej właśnie zataić przed świadkiem, że się już sprawę zna skądinąd; to znowuż trzeba mu pomagać całą sumą zebranych wiadomości.

5. W spornych kwestjach szczególnej wagi pożądane będzie wspólne badanie tego samego osobnika przez dwuch lub kilku historyków wywiadowców o rożnych możliwych uprzedzeniach. Jeżeli jeden z nich spróbuje podsuwać świadkowi pożądane dla siebie odpowiedzi, inny go w tem powstrzyma, gdy pierwszy zacznie wyznawać tylko pohopne wnioski i dostosowywać do nich dalsze pytania, drugi poprowadzi śledztwo w odwrotnym kierunku, na czem prawda tylko zyska.

6. Wogóle w wypadku z Biurem Historycznem Sztabu Generalnego okazało się nader celowem badanie komisyjne (kolegjalne). Każdy świadek wiedział, że jego zeznań nie nadużyje jeden historyk w duchu swoich uprzedzeń, sami członkowie komisji wiedzieli, że muszą się wysilić na taką miarę przedmiotowego ujęcia, na tak gruntowną, żelazną logikę, ażeby wynik mogli, a nawet musieli podpisać wszyscy. Z pewnością praca nasza byłaby mniej solidna, gdyby pan K. nie myślał o konieczności przekonania p. S., pan Z. nie liczył się z panem T. i t. d.

7. Stąd dalszy wniosek: praca nad historją spółczesną zdobędzie powszechne zaufanie i da obfity wynik, jeżeli będzie wiadomo, że nią kieruje nie żaden polityk czy publicysta, lecz instytucje od wpływów politycznych niezależne. Mógłby to być osobny instytut, osobne towarzystwo albo oddział jednego z istniejących towarzystw historycznych. Taki Instytut Historji Spółczesnej powinienby zacząć od prowadzenia wyczerpującej bibljografji druków, zarówno aktualnych polityczno-społeczno-gospodarczych, jak historycznych, t. j. odtwarzających przeszłość. Musiałby dalej sporządzać repertorja archiwalne, gromadzić archiwum wycinków z prasy na podobieństwo tego, jakie miała Ajencja Lozańska podczas wojny światowej, albo przynajmniej sporządzać wykazy (indeksy) do czasopism, będących w posiadaniu innych bibljotek. Oczywiście prowadzić bibljotekę własną, oczywiście niektóre rzeczy ogłaszać — zwłaszcza w wypadkach, gdy trzeba publikację szkodliwą, oszukańczą, fałszerską zgubić przez ogłoszenie tekstów kompletnych i autentycznych. Instytut utrzymywałby styczność z Biurem Statystycznem, aby tamtędy zdobywać dane o ruchu społecznym; rozpisywałby ankiety, zamawiał pamiętniki, a w miarę dojrzewania wyników poszukiwań przystępowałby do robót konstrukcyjnych pod zbiorową kontrolą i poniekąd nawet odpowiedzialnością całego naukowego grona.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

*) „Myśl Narodowa", 1925, Nr. 9—10. Artykuły „Poznajmy dzieje spółczesne" i „Mistrz historji spółczesnej" (o Klaudjuszu Karlomanie Rulhière).

ZE WSPOMNIEŃ O WYSPIAŃSKIM

(Dokończenie)

WYSPIAŃSKI stał z oczyma zatopionemi w czerwieniejące w blaskach słonecznych mury kościoła św. Katarzyny. Patrzył nieruchomo, tylko blade wargi skrzywił grymas żalu czy szyderstwa.

Byłbym nie przeszkadzał mu marzyć, lecz ulica była pusta, poeta spostrzegł mnie i począł witać przyjacielsko i serdecznie.

Wracaliśmy do miasta. Spytałem:

— Czy chciał pan to malować?

— Nie.

Zdawało się, że twarz ściągła mu się i zaostrzyła wspomnieniem jakiegoś przykrego uczucia. Spoglądał na kościół w oddali.

— Budowa nie jest logiczna — rzekł — i nie odpowiada swej epoce, mimo że na kluczach sklepienia i kaplicy obok krużganka jest wykuty napis *Cazimir*. Wszystko by trzeba budować na nowo...

Budować!

Wskazywać kierunek rozwoju czasu na tle budynków, których już nie było lub były, wprawdzie pamiętne minionych dziejów, ale o zniekształconem, pokracznem obliczu. W fantazji przebudowywał zamki z poematów, zamek Kirkora, Wojewody, Makbeta, Lira, a patrząc na Kraków, widział jego mury nie spółczesne, ale te, które były niegdyś, rycerskie. Czem mógł był być Kraków, gdyby on, Wyspiański, został jego budowli Bramantem? Na cóż zda się dziś obżałowywać?

Architektoniczne te projekty rysował fragmentami, a że nie mógł się był spodziewać, aby były wykonane, niszczył.

— Namalowałbym—rzekł po chwili—obraz wnętrza kościoła, rozruch drewnianych postaci świętych, wobec wejścia wojsk obcych... Ale teraz chciałbym malować olejno, nie pastelem, a nie mogę malować niczego, bo nie mam farb.

Idąc wciąż, pogrążyliśmy się w tłum żydowskiego ghetta, gęsto rozsiadłego w tej ulicy.

Gwar żargonu głuszył słowa.

Było mi ogromnie smutno, że nieopatrznie poruszyłem tę kwestję. Nie miał farb, bo nie miał ich za co kupić, ani płótna, ani nająć sposobnej do roboty pracowni, ani za co zamówić modela. Łatwo było domyślić się, czem to poczucie braku musiało być dla niego, który uważał się raczej i wyłącznie za malarza.

— Nie mogę malować—rzekł.—I dlatego muszę pisać.

Powiedział to bez cienia goryczy, spokojnie, jakby tylko chciał stwierdzić istotny stan rzeczy.

— Może to i nie jest źle — nadmieniłem. — Słowo dalej sięga niż obraz.

— Nie moje — odparł.

Czyż mogłem przeczyć?

Jeszcze później, po przedstawieniu „Wesela“ jeden znany krytyk teatralny napisał w swem sprawozdaniu, że wprawdzie sztuka jest o nastroju posępnym, ale kończy się wesołym oberkiem!... Zrozumienie poematu u ogółu przyszło wiele później, po przenikliwych feljetonach Rudolfa Starzewskiego i przez Warszawę.

— Może też—dodał ironicznie Wyspiański—zacznę pisać po francusku, ale malować nie będę mógł chyba nigdy.

Jednak nie mówiliśmy już o tem, ani wogóle o niczem. Szliśmy ku miastu, do kawalerskiego mieszkania Wyspiańskiego. W drodze, wymijając znajomą wypożyczalnię książek, przypomniałem sobie, co mi tam niedawno mówiono, ale teraz, wobec atmosfery przygnębienia, nie powtórzyłem tego.

Przed domem rozstawaliśmy się. Poszedł naprzód, a ja zatrzymałem się jeszcze na ulicy, aby kupić coś do zjedzenia. Stróżka miała nam na górę przynieść herbaty.

Wracam. I cóż zastaję?

W pokoju, z bukietem żółtych róż, była ona, widziana już raz, wielbicielka poety. Odblask nieba rozżarzonego do białości rozełśnił okna i złotym swym pyłem opromienił jej piękność promieniejącą.

Można było jej nie kochać, ale nie można było nie podziwiać.

Ta sama.

W swym ślicznym czerwonym płaszczu.

Wyspiański stał w głębi niezadowolony, zimny jak lód, i z lekceważącym półuśmiechem słuchał przybyłej.

— Umiem „Warszawiankę“, „Laodamję“—mówiła—nie tylko na pamięć... Śnię uczuciami kobiet pańskich tragedyj... Więc pragnąłem pana poznać, zobaczyć.

— Zobaczyć?

— Podziękować. Może i pożegnać na zawsze. Proszę, abym przedtem mogła wypowiedzieć przed panem te dwie role. Grała je Modrzejewska, wiem, może nie powinnam próbować?...

O ile mogłem mniemać z jej głosu, zresztą w tej chwili zmąconego nieśmiałością i wzruszeniem, nie miała nieboga talentu scenicznego. Nie pomogłaby jej żadna praca.

Ale... Przyszło mi coś na myśl.

— Przyjdę jutro?—prosiła.—Za tydzień...

Stałem tuż za nią, niewidziany i zachęcająco skinąłem na poetę.

— Proszę—odrzekł—czy pani tutaj mieszka?

— Od niedawna.

— A przedtem?

— Byłam daleko stąd, nad Zbruczem.

— Nad Zbruczem? — spytał jakgdyby z niedowierzaniem.

— Tak—odrzekła z lekkiem zdziwieniem.

— Ze Zbrucza, już kilka razy, wpłynęły posągi bożków polskich.

— Pan słyszał o tem?—ucieszyła się.—Tak. Nawet widziałam raz takie dwa posągi bożków. Rybacy złożyli je przy brzegu, obok starego kurhanu.

Teraz dopiero Wyspiański podał nieznajomej krzesło i prosił, aby usiadła. Wyzbył się chłodu, tchnącego ironją i nieufnością i mówił do niej słowa uprzejme i życzliwe. Lecz wciąż onieśmielona była bardzo, a może i moja obecność przeszkadzała jej wypowiedzieć się swobodnie. Poprosiła poetę, aby przyjął w hołdzie przyniesiony przez nią bukiet, umówiła się na któryś dzień następny.

I odeszła. Poeta w roztargnieniu bawił się bukietem róż żółtych *Marechal Niel*, i zrzędząc żartobliwie rozmawiał o swej pięknej wielbicielce, jej zapale do sztuki scenicznej i jej kwiatach.

— Znakomity model—wtrąciłem.

Prawodopodobnie, sam nie wiedząc, myślał o tem, bo popatrzył na mnie niespodziewanym, przeszywającym wzrokiem i głos zatrząsł mu się, gdy rzekł:

— Model. Czyżby chciała?

*

* *

Minęły dnie, miesiące.

Poeta ożenił się. Mieszkał już nie w pokoiku przy placu Marjackim, ale z rodziną, w nowem wielkiem mieszkaniu.

Krótko przedtem napisał „Wesele“. Propozycja wystawienia sztuki wywołała w teatrze nieprzyjemne zakłopotanie i lękliwe rozważania. Co z tem zrobić? O ile za poprzedniej dyrekcji, Tadeusza Pawlikowskiego, powiodła się „Warszawianka“, to drugie, czy dane na przekór niepowodzeniu, trzecie przedstawienie „Lelewela“, odbyło się przed pustą widownią. Napróżno też kołatał autor o wystawienie „Meleagra“. Cenzura nie dopuściła do wystawienia „Klątwy“, nawet, jak proponował Przybyszewski, jako poranek, *theâtre intime*, tylko dla wybranych. Co prawda, „Lelewel“, nie miał walorów scenicznych, co zresztą stwierdził sam Wyspiański.

W pustej sali, w loży dyrekcyjnej, siedziałem obok niego podczas tego trzeciego przedstawienia, przedstawienia bez publiczności. Na scenie mówili nie ludzie z krwi i kości, ale jakby pomyślane poza poczuciem o istnieniu ludzi, figury z papieru, aktorzy figuranci. Wypowiadali idee, zarysy programów politycznych. Nie ludzie, jeno w strojach epoki puste ich kształty.

Spostrzegł to autor.

— Zapomniałem naszkicować charakterów — usprawiedliwiał się z cicha.

Była w tem bezwiedna ironja czasu. Nic dziwnego że o „charakterach“ zapomniał.

Pamiętał w „Weselu“. Zajrzał w mózg społeczeństwa, otworzył serca. Ukazał myśl współczesnego mu pokolenia, obraz potworny i śmieszny. Las fałszów, dantejski las zdrad, kłamstwa i pokus, którym sam, nieubłagany sędzia sumienia narodowego, nigdy nie ulegał. Świat dla niego zaczynał się i kończył na Polsce. Bojownik wolności wskazywał do niej drogę niewolnikom. Nowy jego dramat wzywał, jak Tyrteusz, do walki z obojętnością i ciemnością.

Tymczasem, gdy dyrektor Kotarbiński, mimo ostrzeżeń przed niechybną stratą, zdecydował wystawienie „Wesela“, zaszła w teatrze całkiem niespodziewana przeszkoda Po pierwszej próbie aktorka (niech nazwisko jej będzie zapomniane), która miała grać Pannę Młodą, zwróciła rolę w obawie kompromitacji z powodu obowiązującego ją udziału w sztuce tak mętnej i lichej. I nie wiadomo, co by się było stało, gdyby nie zainteresowanie, jakie dziełu okazali inni artyści teatru: Siemaszkowa, Kamiński, Sulima.

Nie lepiej poszło w prasie. Krytyk teatralny dziennika „Nowa Reforma“pisał w swem sprawozdaniu o „wesołym oberku“... Profesor uniwersytetu, powaga w rzeczach klasycznej estetyki, później prezes Akademji Umiejętności, ułożył i wydał drukiem parodję sztuki...

Ale w mieście, w kraju, ton dzieła, wołanie o niepodległość, mocą huraganu targnęły codziennością. „Wesele“ grano po raz pięćdziesiąty. Każdy wieczór potęgował triumf.

Wyspiański, jak Byron po ogłoszeniu „Giaura“, przez jedną noc stał się poczytny, sławny. Dzięki pozyskaniu kredytu w Drukarni Uniwersyteckiej, pod zarządem prof. Bolesława Ulanowskiego, ogłosił „Wesele“ w książce, w wielkiej ilości egzemplarzy. Czytali wszyscy. Grano „Wesele“ ze skreśleniami cenzury niemieckiej w Poznaniu. Masowo przemycano je przez granicę rosyjską do Królestwa Polskiego i na Kresy.

Włodzimierz Tetmajer pisał do Wyspiańskiego:

— „Król-duch narodu wstąpił w Pana“.

A on? Równie obojętny był na pochwały, jak na nagany. Nareszcie swobodnie mógł się wziąć do pracy.

Malował. W mieście opowiadano o pewnem zabawnem zdarzeniu, tyczącem się jego pracy malarskiej. Krakowska Akademja Sztuk Pięknych prosiła go o objęcie stanowiska profesora malarstwa dekoracyjnego. Zwracano się do niego o roboty, a miłośnik sztuki, książę Zdzisław Czartoryski ze Starego Sielca w Wielkopolsce zamówił u niego szereg witrażów do kościoła pod wezwaniem Św. Elżbiety, który budował u siebie na wsi. Cóż, kiedy Wyspiański zaprojektował witraże na zupełnie inny, swój temat. Namalował Ewę, matkę rodu ludzkiego, w całej swej rozrodczej i symbolicznej nagości. Dalej przykuwający grozą Bunt Aniołów, i inne, wedle zdania krakowskich doradców księcia, nie nadające się do wiejskiego kościołka.

W tym czasie, ktoś ze znajomych, zdaleka, napisał do mnie, abym prosił Wyspiańskiego o odstąpienie mu jednego z dawniej wystawionych jego krajobrazów.

Poszedłem. Poeta czuł się jako - tako, zadowolony ze swego dogodnego nowego mieszkania i nowego regularnego trybu życia codziennego. Na stole bieliły się kartony rysunków, przedstawiających kwiaty, rozkoszne, stęsknione miłości, uwiędłe. Same kwiaty i kwiaty. Przeważnie, jak wiem, rysowane nie z natury, ale stylizowane z szkolnego podręcznika botaniki.

Oglądałem je, rozmawiając. Nagle, na ścianie, obok pieca, zobaczyłem namalowany pastelem projekt fresku.

Nigdy, może chyba na widok „Szału“ Podkowińskiego, albo obrazów Matejki, nie doznałem dreszczu tak wstrząsającego wszystkie gałęzie uczucia. Fresk przedstawiał trzech czy czterech aniołów, strąconych z nieba i spadających na oślep w przepaść zatracenia. Nienawiść, pychę, rozpustę myśli, wiódł Anioł grzechu, Anioł zbrodni. Silną budową ciała przypominali aniołowie bohaterów Iljady, rysowanych do świetnego przekładu Rydla. Tylko, że klasyczną moc bohaterów wzmagała tu śmiałość skrótów, która dawała widowisko obłąkańcze, targała myśli, tamowała oddech. Jak mi swe wrażenia opowiadał później Władysław Reymont „sama śmierć leciała z nimi“.

Poznałem: na czele zgrai potępieńców leciała w piekło ona, z rozwianą grzywą włosów, złowroga. Ta sama, choć tak zupełnie inna. „Kobieta w czerwonym płaszczu“.

Gdy nieco ochłonąłem z podziwu, ośmieliłem się spytać:

— Jakież fata sprowadziły panu tego modela?

Wyspiański chciał udać, że nie rozumie, poczem powstrzymując uśmiech, podniósł rękę w górę.

— Pst... — nakazał milczenie.

— I skąd — spytałem ciszej. — Czy nie z Podola? Ze Zbrucza? Bożki pogańskie?

Wyspiański uśmiechał się. Odrzekł wymijająco:

— Bożki, fauny...

ANTONI WYSOCKI

W MOJEJ KUŹNI

W MOJEJ kuźni ciężkie biją młoty,
Sprzęt mi kują na cały mój wiek.
Pierwszy kowa klucz mej doli złoty,
Drugi miecza mojego brzeszczoty,
A ostatni do mej trumny ćwiek.

Płynie echo z biegiem wartkich rzek.

Złotym klubem Złotooka Ksieni
Wrota doli otworzy naścieżaj,
Świętym ślubem dłonie upierścieni,
Miecz mi poda i powie: Zwyciężaj!
A druh Smutek, co mnie w życiu strzegł,
Do mej trumny wbije kiedyś ćwiek.

Spłynie echo z biegiem wartkich rzek.

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

LIBERUM VETO

Pancerz niewiadomości.—Wycieczki ze szczytów i wywiady na dole. — Sruby i śrubki równowagi budżetu państwowego. — Równowaga budżetów prywatnych. — Ich niedobory.—Gmach mocny, ale zbytkowny i brudny. — Zaraza w mózgu.

CZY ministrowie czytają gazety? Z pewnością nie czyni tego p. Skrzyński, bo wtedy niewątpliwie straciłby dziewiczy wianuszek swego optymizmu, o którym zawiadomił świat w pierwszej przemowie zapomocą polskiego radjotelegrafu i który zresztą mieliśmy nieraz smutną sposobność podziwiać. Ale inni ministrowie? Prawdopodobnie czytają artykuły bezpośrednio ich dotyczące. Na inne nie mają czasu a może nawet ochoty. Czy tem należy się martwić, czy też cieszyć? Z jednej strony nieznajomość mnóstwa wymownych objawów życia nie daje im należytych wskazówek postępowania, z drugiej—nie odbiera im wiary we własne siły i wartość działań. Łatwo wyobrazić sobie, coby się stało z energją sternika każdej łodzi państwowej, gdyby on codziennie otrzymał kilkadziesiąt doniesień, że ją pędzi na skały, na których musi się rozbić. On musi strzedz swej niewiadomości, która go zabezpiecza od zwątpienia i otacza złudzeniem popełnione omyłki. Legendy historyczne opowiadają o mądrych i sumiennych monarchach, którzy w przebraniu odbywali niepoznani tajemnicze wycieczki w najustronniejsze zakątki życia swych poddanych, ażeby poznać jego prawdę. Mieszali się z tłumem w sądach, urzędach, szynkach, miejscach zabawy i pracy, gdzie bezpośrednio przypatrywali się rzeczywistości, zakrywanej przed nimi zasłoną kłamstwa lub mgłą oddalenia. Miał to podobno czynić nawet Iwan Groźny, który czasami chciał sam wyłowić ofiary dla swej rzeźni, przekonać się, czy dostarczone mu przez zauszników istotnie zasługiwały na topór, albo wreszcie czy niektóre z nich, posłane sędziemu drugiego świata do dalszej dyspozycji, zostały skarane sprawiedliwie. Takie więc schodzenie władców społeczeństwa z wyżyn na niziny przynosi im pewne korzyści i nieraz wprowadza „sprostowanie" do ich zamiarów i działań. Pomimo ciągle i uroczyście ogłaszanych w prasie wywiadów z dostojnikami państwa nie mogę rozstać się z tem silnem przekonaniem, że wszystkie tego rodzaju rozmówki nie warte są zużytego na nie najlichszego drzewnego papieru. Bo naprzód najumiejętniej opukany i osłuchany przez reporterów mąż nie powie im ani słowa więcej nad to, co przy rozmaitych sposobnościach wypowiada publicznie, powtóre w wyznaniach swoich nie przedstawia żadnej rękojmi, że mówi prawdę, potrzecie łatwo domyślić się, że on ze względów politycznych musi częściowo lub całkowicie kłamać. Po co więc tracić czas i atłas na takie bajdy? Tymczasem wywiady z ludźmi, niezajmującymi żadnego stanowiska urzędowego i należącymi do podległej masy społecznej a nawet stanowiącymi najniższy jej pokład, byłyby bardzo ciekawe i pouczające. Czyli: nie prostaczkowie powinni badać ministrów, ale ministrowie prostaczków. W tych „interwiewach" dowiedzieliby się o „incydentach", „likwidacjach", „rewizjach pojęć", „uzgodnieniach", „podkreśleniach", o których im się nawet nie śniło, a z których wytrysłyby snopy światła na sprawy społeczne i zadania rządu. Oto jeden z przykładów. Gdy potrzeba zrównoważyć budżet państwa, członkowie ministerjum skarbu zasiadają przy stole, kładą przed sobą papierosy i ołówki, przeglądają kolejno źródła dochodów i liczą: które można i trzeba rozszerzyć i pogłębić, które pozostawić bez zmiany, które uszczuplić. Powstają z tych obrachowań kolumny cyfr, przekreślanych, powiększanych, zmniejszanych, dopóki wreszcie nie ułożą się one do równowagi. Wtedy następuje przykręcanie śrub i śrubek podatkowych, a jaki one wpływ wywierają na miljony istnień ludzkich i budżetów jednostkowych, tego nikt nie bada szczegółowo, poprzestaje na przypuszczeniu ogólnem. Tymczasem przykręcanie tej lub innej śrubki podatkowej może tu poderwać jakieś przedsięwzięcie. Tam zredukować zaspokojenie koniecznych potrzeb aż do niedostatku, tam sprowadzić głodującą nędzę. O tem wszystkiem buchalterja ministerjum skarbu nic nie wie i wiele nad tem się nie zastanawia. A jednakże bez głębokiej filozofji ekonomicznej łatwo zrozumieć, że tu spoczywa główny punkt ciężkości gospodarstwa społecznego i że w nim daleko ważniejszą rzeczą jest równowaga pojedyńczych budżetów obywateli, niż równowaga ogólnego budżetu państwa. Być może, że drugą z pewnym trudem osiągniemy, natomiast pierwsza nie wyjdzie z olbrzymich niedoborów. Poza sferą warstw i jednostek uprzywilejowanych lub łupiestwem zbogaconych, cała ludność kraju pozostanie w ciężkiej biedzie i w niemożności płodnego zużytkowania swoich sił twórczych. Wydatki państwa pokryją się jego dochodami, ale potrzeby obywateli nie pokryją się zarobkami. Ponieważ zaś suma dobrobytów jednostkowych składa się na dobrobyt ogółu, a suma zrównoważonych budżetów prywatnych tworzy właściwie równowagę budżetu publicznego, więc po zwiększonych ciężarach „sanacji" skarbu nie spodziewajmy się poprawy, raczej pogorszenia warunków życia. Nie jest ten wynik owocem błędu p. Zdziechowskiego, najlepszego z dotychczasowych ministrów finansowych, ale jest to rezultat pałacowej konstrukcji naszego państwa, którą muszą utrzymywać biedacy, oraz omyłek i przewinień rządów poprzednich, ślepych, doktrynerskich, lub nieuczciwych. Po tylu zwałach, rzuconych na Polskę przez głupotę, oszustwo, marnotrawstwo i partyjność, można się tylko dziwić, że ona pod niemi nie runęła i jeszcze dość mocno stoi.

Cudzoziemcy przybywający do Polski z celem zbadania jej rzeczywistego stanu, odjeżdżają zawsze zdumieni: według obserwacji zdala i doniesień prasy europejskiej spodziewają się zobaczyć kupę gruzów zapadłego państwa, tymczasem widzą, że ono się trzyma, że posiada materjał zdrowy i niektóre wiązania silne, ale jego konstrukcja jest pomyślana wadliwie i zbytkownie, nieodpowiednio ani do potrzeb, ani do możności narodu. Nadto jest gmachem zanieczyszonym przez biurokratyczne niechlujstwo i opanowanym przez szajki łupieżcze. Gdyby ten brud usunąć i łotrów wypłoszyć, przedstawiałoby jeden z najtęższych organizmów politycznych w świecie. Rozpoczęliśmy już pracę odradzającą w obu tych kierunkach, ale, niestety, jest ona zbyt powolna a ma do wykonania i pokonania zbyt wiele. Największa trudność, tamująca tę pracę i najgłówniejsze źródło wszystkich chorób państwa polskiego tkwi nie w tem, że zaraza moralna rozpostarła się w jego organach podrzędnych, wykonawczych, ale że ona owładnęła jego mózgiem ustawodawczym. Zasiadają w Sejmie i działają bezkarnie posłowie, których opinja społeczna, dzienniki, sądy napiętnowały jako przestępców, dla których właściwe miejsce jest w kryminale a nie w parlamencie. Pomimo dowiedzionej ich hańby, Sejm znosi cierpliwie ich obecność, przewinienia, a nawet bezczelne napaści, nie podejmując najmniejszego usiłowania, ażeby ich wyrzucić a przynajmniej okiełznać. Ostatnia scena, jaka się w nim rozegrała, jest szczytem pobłażania dla niecnoty i zuchwałej potwarzy. Gdy stojącego na trybunie ministra skarbu napastnicy obrzucili najordynarniejszemi wyzwiskami i nazwali złodziejem, marszałek — (fakt bezprzykładny!) — zaproponował oszczercom złożenie „na piśmie sformułowanego zarzutu, ażeby umożliwić opinji publicznej zorjentowanie się".

A więc tak: najznakomitsi generałowie są publicznie szkalowani i wypędzani z armji, mając zamknięte wszystkie drogi obrony; najznakomitsi ministrowie są szkalowani i wypierani z rządu, mając jedną tylko drogę obrony — wytłumaczenie się przed potwarcami. „W sposób skuteczny, albo nieskuteczny—dodał marszałek—to do mnie nie należy". Niezwykły okaz równowagi budżetu... moralnego!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

POLITYKA PÓŁGÓWKÓW

BYŁY nasz poseł w Stanach Zjednoczonych A. P., p. Władysław Wróblewski, ogłosił w „Sterze" artykuł o szerzonym teraz „patrjotyzmie europejskim", mającym przygotować grunt do zrealizowania idei europejskich stanów zjednoczonych. P. Wróblewski jest zdania, że idea ta mogłaby być niewinną igraszką umysłu, gdyby takie fantazje „nie miały dostępu do mózgu polityków, którzy nie potrafią się z nich śmiać, albo co gorsza—takich, którzy wogóle śmiać się nie umieją". To już jest szkodliwe.

Kwestja ta—dodamy—dla nas jest szczególnie interesująca ze względu, że za najśmielszego szermierza tej idei uznano już w Europie polskiego ministra spraw zagranicznych, hr. Skrzyńskiego, zupełnie beztroskliwego optymistę...

Utopja ta powstała z analogji do ustroju Stanów amerykańskich. Według p. Wróblewskiego „jest prowokacją zdrowego rozumu szukać tu analogji". „Przeciw Zjedn. Stanom Europy pracuje 2.000 lat historji". Sześćset lat temu Europa była bliższa jedności, niż dzisiaj. Idea ta zbankrutowała w czasach prób ustroju teokratycznego, a potem gdy oprzeć ją chciano na solidarności tronów.

„Obecnie, jak w Ameryce, tak i w większej części Europy—nie wyłączając Rosji—nacjonalizm jest albo w zawiązku, albo w zaraniu młodości". „Nieraz już powiedziano, ale w nieskończoność trzeba to powtarzać, że głupotą jest uważać nacjonalizm za synonim szowinizmu. Przeniknięcie w masy samopoczucia narodowego, przejęcie się miljonów świadomością praw narodu i godności narodowej jest postępem ludzkości na największą skalę".

„Gdybym był Niemcem — pisze p. Wr. — lubiłbym tę fikcję Zjednoczonej Europy i popierałbym hr. Coundehave — Kalergi. Każdy nawet drobny na tej drodze krok przygotowawczy, nie może nie przynieść korzyści czynnikowi, posiadającemu, jak Niemcy, najlepsze na kontynencie europejskim, strategiczne położenie ekonomiczne, największą siłę gospodarczą i największą dotąd potencjalną siłę fizyczną...

„Jako Polak czuję, że o własnym trzeba myśleć narodzie długo i mądrze, zanim przyjdzie czas na myśli o zrzeszaniu się z innymi. Ta chwila przyjdzie wtedy, gdy do zrzeszenia wnieść będziemy mogli należną Polce kwalifikację ośrodka, jednego z ośrodków, a nie kwalifikację przyczepki. Zanosiło się na zarobienie sobie przez Polskę tej kwalifikacji twórczej nieprawdopodobnie szybko — nie zanosi się dzisiaj. W polityce międzynarodowej nie jesteśmy dzisiaj najmniejszym nawet ośrodkiem twórczym, nie jesteśmy nawet najskromniejszym z out-siderów, swoją idących drogą".

Takie świadectwo kompetenetny znawca stosunków wydaje naszej ostatniej polityce zagranicznej. A kończy tak:

„Zjednoczone Stany Europy mogą być marzeniem poetów, tęsknotą filantropów i ćwiekiem w mózgu wizjonerów. Polityką mogą być tylko półgłówków".

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Rząd Witosa. — Zamach stanu.

PO rządzie Skrzyńskiego — rząd Witosa. Po sześciodniowem przesileniu powstał rząd, jaki jedynie w naszych warunkach parlamentarnych był możliwy, rząd oparty na tej samej „większości oszczędnościowej", która po wystąpieniu z gabinetu p. Skrzyńskiego ministrów-socjalistów, uchwaliła prowizorjum budżetowe na maj i czerwiec r. b. i w dalszym ciągu, jako pierwszy punkt wspólnego programu uważała zrównoważenie budżetu i bezwzględne niedopuszczenie do inflacji. Rząd t. zw. „centrowo-prawicowy", złożony z przedstawicieli Związku Ludowo-Narodowego, Chrześcijańskiej Demokracji, P.S.L. „Piasta" i Narodowej Partji Robotniczej, popierany ponadto przez Klub chrześcijańsko-narodowy i Klub katolicko-ludowy.

Wydawało się, iż utworzenie rządu o tym charakterze było w obecnej chwili tak naturalne, tak konieczne, że powinno było nastąpić natychmiast, w kilka godzin po złożeniu przez hr. Skrzyńskiego prośby o dymisję. W Sejmie wszakże zakorzenił się obyczaj nauczania społeczeństwa metodą... eksperymentalną. Rozpoczęto tedy szereg demonstracyj *ad oculos*, prób tworzenia nowego rządu koalicyjnego, rządu parlamentarnego lewicy, rządu pozaparlamentarnego p. Wł. Grabskiego, prób skazanych zgóry na niepowodzenie i nieudanych. System dydaktyczny kosztowny, a jakże mało skuteczny, skoro— jak doniosły dzienniki — nowy rząd Witosa nie otrzymał był jeszcze nominacyj, gdy „blok stronnictw lewicowych" naradzał się już nad najostrzejszą opozycją wobec gabinetu, który nazwano „rządem prowokacji lewicy".

Przyszłość najbliższa okazała, co ta najostrzejsza opozycja" miała znaczyć. Dn. 12 b. m., nazajutrz po objęciu władzy przez nowy rząd, szereg pułków pod wodzą marszałka Piłsudskiego odmówił posłuszeństwa najwyższemu Zwierzchnikowi siły zbrojnej, Prezydentowi Rzeczypospolitej. Tegoż dnia pułki te wkroczyły do Warszawy, gdy Prezydent i rząd, bronieni przez wierne przysiędze oddziały pozostali na skraju miasta, w Belwederze. Przez dwa dni toczyły się walki na ulicach Warszawy. Wojska, wierne przysiędze, budziły podziw bohaterstwem i poświęceniem. Ale przewaga liczebna była nieustannie po stronie wojsk marszałka Piłsudskiego. Dn. 14 b. m. o godz. 5 p. p. Belweder został zdobyty. Nazajutrz rano, Prezydent Rzeczypospolitej przesłał na ręce marszałka Sejmu p. Rataja następujące oświadczenie:

„Wobec wytworzonej sytuacji, uniemożliwiającej mi sprawowanie urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej zgodnie ze złożoną przezemnie przysięgą, zrzekam się tego urzędu i zgodnie z art. 40 Konstytucji przekazuje Panu Marszałkowi Sejmu uprawnienia Prezydenta Rzeczypospolitej.

Jednocześnie załączam prośbę o dymisję dotychczasowego rządu.

Wilanów 14 maja 1926 r.

(—) *S. Wojciechowski*

(W komunikacie urzędowym, podpisanym przez Szefa Sztabu Generalnego gen. Burchardta-Bukackiego, powyższe oświadczenie Prezydenta Wojciechowskiego streszczone zostało w słowach następujących: „Pan Prezydent Rzeczypospolitej zrzekł się władzy na rzecz Marszałka Piłsudskiego (!) i uznał (!) go za jedynie godnego (!) i powołanego (!) do rządzenia Polską").

Walka skończyła się. Według tymczasowego rachunku liczba zabitych wynosi 237, liczba rannych 1000.

Tegoż dnia marszałek Rataj powołał nowy rząd. Premjerem został b. minister kolei pos. Bartel, poszczególne teki objęli wyżsi urzędnicy odnośnych ministerstw lub dawni aktywiści, którzy przez szereg lat kierownicze stanowiska w Państwie zajmowali. Ministrem spraw zagranicznych został najbliższy współpracownik p. Aleksandra Lednickiego, p. August Zaleski, ministrem wojny — p. Józef Piłsudski, ministrem oświaty — p. Mikułowski-Pomorski. Przypomina się dawna Tymczasowa Rada Stana, mianowana w r. 1917 przez gen. gub. von Beselera i gen. gub. von Kuka; tam również na czele „referatu wojskowego“ stał p. Józef Piłsudski, na czele „referatu oświaty“ p. Mikułowski-Pomorski...

Pierwszem zadaniem marszałka Rataja jest zwołanie Zgromadzenia Narodowego celem wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej. W myśl art. 41 Konstytucji Zgromadzenie Narodowe w tym celu winno być zwołane „natychmiast“. Liczne grupy posłów z Poznania, Katowic, Krakowa, nadsyłają oświadczenia, domagające się, aby Zgromadzenie Narodowe zwołane było nie w Warszawie, chcąc w ten sposób zapewnić mu konieczną swobodę decyzyj. Jak dotychczas, marsz. Rataj nie wypowiedział jeszcze opinji w tej sprawie. To pewne, że tylko swobodna całkiem decyzja Zgromadzenia Narodowego może przynieść krajowi uspokojenie, wprowadzić życie państwowe na normalniejsze tory.

IGN.

WYCHOWANIE NARODOWE

KRYZYS W NAUCZANIU GRAMATYKI

Opinja prezesa Akademji Um., prof. Jana Rozwadowskiego

STAŁO się, do czego dojść musiało. Nad podręcznikami szkolnemi i metodą nauczania z nich czuwać musi wychowawca, mający na oku ostateczny cel szkoły — wychowanie zdatnego do życia obywatela. Podręczniki szkolne, pozostawione gorliwości uczonych, schodzą w końcu na skróty dzieł naukowych, w których uczony autor składa dorobek wiedzy. Bezradny jest wobec nich nauczyciel-wychowawca, ofiarą zaś nieporozumień staje się uczeń, a w ostatecznym rezultacie społeczeństwo, zyskujące ludzi oświeconych, niezdatnych ani do życia, ani do pracy naukowej. Tak się stało w Polsce, która wzgardziła tradycją polityki wychowawczej lat dawnych, ustalonej przez Komisję edukacyjną, a wykonywanej przez takich ludzi, jak Czartoryski, Czacki i in. Szkoły akademickie, pękające od nadmiaru katedr, podręczniki w szkołach średnich, nabrzmiałe uczonością—oto owoc gorliwości specjalistów, nie krępowanej myślą wychowawczą.

Zdarzyło się wreszcie, że na posterunku ministra oświaty znalazł się człowiek z myślą i odwagą, który postanowił dostosować szkoły do potrzeb życia. Prof. Stanisław Grabski, któremu niestety warunki pracy nie pozwoliły dotąd reformy przeprowadzić, zwrócił uwagę między innemi i na to, co się robi z nauczaniem gramatyki polskiej.

Przyszedł on do wniosku, że mała gramatyka prof. Szobera, którą uczniów zamęczano, jest podręcznikiem, „którego naprawdę dziecko nie zrozumie i który jest przytem zasadniczo błędny, bo autor chce traktować gramatykę z punktu widzenia teoretyczno-poznawczego“. Pękła bomba, której nikt nie śmiał dotknąć z poszanowania naukowego autorytetu. Cóż na to świat naukowy?

Oto w czasopiśmie Akademji Umiejętności Krakowskiej „Język Polski“, redagowanem przez prof. Nitscha, Łosia i in. (zesz. I z r. 1926) ukazała się kapitalna rozprawa prezesa tej Akademji i słynnego językoznawcy prof. Jana Rozwadowskiego p. t. „O nauce języka ojczystego w szkołach i o rzeczach pokrewnych“. To, co napisał ten uczony specjalista i zwierzchnik najwyższej naszej instytucji naukowej, stanowi datą przełomową w dziejach polskiego wychowania. Z obszernej rozprawy prof. Rozwadowskiego dla braku miejsca możemy dać tylko streszczenia i wyjątki. Pomijamy bardzo interesujący wykład, jak sprawa nauczania języka przedstawia się obecnie w Anglji, Francji i Niemczech: przechodzimy odrazu do części drugiej.

Prof. Rozwadowski z głęboką wiedzą łączy szczęśliwie zdrowe poczucie rzeczywistości i jej potrzeb w dziedzinie wychowania. W sprawie nauczania języka w szkołach stwierdza, że to nauczanie „jest prawdziwą zmorą szkolną“, nie daje rezultatów i zraża „do późniejszego wglądu w znaczenie i rolę języka w związku z elementami świadomości i kultury wogóle“. Jest zdania, że skończyły się czasy nauczania filologicznego klasycznego. Na pierwszy plan po wojnie wysunięto w humanistyce język i piśmiennictwo ojczyste. I słusznie. „Ale zapał reformatorski i nowatorski“ poszedł za daleko, jak zresztą i w innych dziedzinach. Stan językoznawstwa w ostatnich czasach zbogacił się wielu zdobyczami nauki, zwłaszcza w dziedzinie gramatyki historyczno-porównawczej języków indo-europejskich i fonetyki opisowej, dokonano wielu odkryć co do istoty, roli i praw zjawisk językowych. Ale systemu ogólnego językoznawstwa, ogólnej gramatyki jeszcze niema. Są to rzeczy trudne i pozostające w toku badań. W szkole możnaby pokazywać tylko pewne ustalone fakty, a tymczasem wtłacza się dziecku cały dorobek wiedzy. Tu prof. Rozwadowski występuje jako pedagog.

„Umysł dziecka—pisze on—jest stanowczo antyteoretyczny i antyrefleksyjny: dziecko zajmują i cieszą nowe, konkretne fakty i myśl jego na nich i w związku z niemi dopiero się rozwija; rozmyślanie i zastanawianie się nad oderwanemi pojęciami, logiczne określenia rzeczy dalekich, tem więcej zastanawianie się nad własnemi funkcjami psychicznemi męczy je, bo wogóle przerasta jego siły. Dziecko zmuszane do tego, podstawia zamiast tego conajwyżej bezmyślne, pamięciowe powtarzanie tego, co słyszy lub czyta w tym kierunku. Trzeba pamiętać, że umysłowość dziecka jest zbliżona do umysłowości przeciętnego wieśniaka, a zwłaszcza człowieka, stojącego na prymitywniejszych stopniach kultury, który cały żyje w konkretnych, bezpośrednio go obchodzących szczegółach i faktach, dla którego największym, zgoła niezrozumiałym i wskutek tego wstrętnym wysiłkiem jest „rozmyślanie i zastanawianie się“ nad rzeczami, które go nic nie obchodzą, których wogóle nie jest w stanie pojąć, analizowanie własnych powiedzeń, logiczne ich oświetlanie, rozróżnianie wyrazów i wogóle tego, co mówi, od odnośnych treści, a zwłaszcza od myśli, kiedy dla niego to jest to samo.

Ani dziecku, ani człowiekowi pierwotnemu nie imponuje wcale logiczna, matematyczna i rozumowa prostota jakiegoś systemu, możność wywodzenia go z jednej zasady lub nielicznych przesłanek — bo to wymaga wyrobienia umysłowego, którego nie posiada.

Sztuczne sprowadzanie wszystkiego do najprostszych zasad, wywodzenie zawiłych i najwyższych tworów kultury duchowej z poznawania świata przez człowieka zapomocą dotyku i t. d., z przeskakiwaniem całego długiego łańcucha rozwojowego, zmuszanie do zastanawiania się i zdawania sobie sprawy z tego, że wszystko, nawet to, nad czem niezliczone pokolenia ludzkie od praczasów bezwiednie się trudziły, jest niby całkiem naturalne i proste—takie stanowisko, taka metoda i takie „kształcenie“ jest wobec dziecka tak samo, jak wobec człowieka prymitywnego, najgłupszem i najgroźniejszem zboczeniem nowożytnych czasów, podjętem zapewne w dobrej wierze i dla dobrego celu, ale niestety zastosowanem absurdalnie. To jest tak, jakby kto chciał gwałtem z dzieci robić dorosłych i kazał im robić to, co oni.

Na świecie zapanowała tymczasem poprostu jakaś wścieklizna, aby dzieciom nic nie nakazywać, tylko im wyjaśniać i tłumaczyć, aby, zrozumiawszy, same sobie nakazywały robić, co trzeba, a czego nie trzeba, zaniechać, aby nigdy, pod żadnym warunkiem nie szturknąć dziecka palcem, aby się jak najmniej uczyło na pamięć, aby wszystko tylko rozumiało i uświadamiało sobie, i t. d. i t. d. a wyniki tej metody są w całości takie same, jak np. w zakresie nauki języka ojczystego, gdzie po kilkuletniem pogłębianiu, uświadamianiu, wyjaśnianiu i t. d. i t. d., wychodzą ze szkół średnich młodzi ludzie, nie umiejący nawet pisać ortograficznie.

I ludzie przecież widzą, że wszędzie najpierw idzie ciężka praca, wysiłek i wprawa, a potem dopiero jasne zrozumienie, nie naodwrót — ha! widzą niby, a nie widzą! Ślepi przewodnicy ślepych! Postanowili właśnie u dzieci i młodzieży odwrócić przyrodzony porządek i podają to za szczyt dzisiejszej patentowanej, pedagogicznej mądrości! Jeszcze tylko brakuje, aby zaczęto i do niemowląt, do ich ssania, zawijania, wypróżniania się i t. d. stosować metodę przekonywania, sposoby heurystyczne, niekrępowanie indywidualności, uświadamianie, autonomiczne urządzenia i czy ja wiem co jeszcze!

Co do językoznawstwa. Proszę zauważyć, że są dwa wielkie jego działy. Jeden to strona opisowa, aktualno-historyczna, rodzaj wyczerpującej systematyki faktów językowych, która prowadzi do naukowych gramatyk i słowników. Drugi to rozpatrywanie tworów językowych i ich ewolucji w stosunku do oznaczonych przez nie przebiegów i tworów psychicznych, rozważanych same w sobie, co prowadzi jako do swego celu, bardzo odległego, do ogólnej gramatyki i słownika, których zadaniem jest przedstawić życie psychiczne, innemi słowy, całą świadomość ludzką i jej rozwój tak, jak ona się wyraża w mowie. To zadanie obchodzi równie żywo psychologów, logików, filozofów, socjologów, badaczów kultury.

Jeżeli się zapytamy, co z tego można i trzeba dawać w szkole, to odpowiedź jest łatwa: przedewszystkiem fonetykę opisową. To jest rzecz podstawowa, a doświadczenie uczy że zarazem dzieci zajmuje; ułatwia też zrozumienie roli i znaczenie pisma i pisowni. W związku z tem możnaby, jak sądzę, zapoznać młodzież z istotą i dziejami pisma i sądzę, że to także by było bardzo i zajmujące i korzystne. W wyższych klasach znaczenie wyrazów i jego przeobrażenia w stosownym doborze i wyborze, w ścisłym związku z dziejami kultury, materjalnej i moralnej, może być bardzo cennym przedmiotem nauki".

Wnioski prof. Rozwadowskiego są takie:

1. W szkole powszechnej względnie w niższym oddziale szkoły średniej, dziecko musi opanować praktycznie język ojczysty i jego środki techniczne, nauczyć się wyrażać jasno i trafnie, mówić w sposób kulturalny, zatem nietylko poprawnie i jasno, ale także w sposób odpowiadający przedmiotowi, zatem w razie potrzeby z pewnym wdziękiem lub siłą i t. p. Powinno się nauczyć kształtować swoje myśli i przelewać je w wyrażenia, wreszcie pisać poprawnie i biegle. Do tego ma prowadzić z jednej strony cała nauka w szkole, to jest wszystkie przedmioty, z drugiej zaś stosowne ćwiczenia, a g r a m a t y k i n i e p o t r z e b a d o t e g o ż a d n e j, albo prawie żadnej.

Poza temi ćwiczeniami, jako gruntowna podstawa i przygotowanie do późniejszego rozwinięcia i pogłębienia samowiedzy: fonetyka opisowa, rozwój pisma, podstawy pisowni, na końcu może coś o języku kulturalnym, narzeczach i znaczeniu wyrazów. Do tego potrzebny niewielki podręcznik, rozsądnie ułożony, jasny, z troskliwie dobranym materjałem, z minimalnem rusztowaniem gramatycznem, formułujący nauczanie ustne nauczyciela, jako pomoc dla niego dla ucznia, ale nie do uczenia się na pamięć, chociaż materjał powinien być gruntownie przyswojony.

2. W wyższej szkole średniej, może dopiero w ostatnich dwu latach, które mają być niejako zakończeniem, zebraniem dotychczasowego wykształcenia w pewną syntezę, wyciąganiem z niego ogólniejszych wniosków i przygotowaniem do uniwersytetu, ma uczeń na podstawie uzyskanych dawniej nieuprzedzonych wyobrażeń, jako elementów i podstaw, dojść do istotniejszego wglądu w zjawiska językowe, w strukturę i dzieje języka. I znowu dobry podręcznik, możliwie jasny, zajmujący, któryby był przewodnikiem rzeczy samej, a pomostem między nauczycielem a uczniem. A wszystko w związku z nauką o kulturze oraz z elementami, to jest podstawami poglądu na świat czyli filozofji, i nie samej tylko teorji poznania, psychologji i logiki.

Nie w luźnych, oderwanych i przez to niezrozumiałych szczegółach, tylko w jednolitym, jasnym, mocnym obrazie i nastroju, który powinien być podniesieniem samowiedzy, mocną, niewzruszoną orjentacją i nastrojeniem ducha, kornem a zarazem pełnem rozpierającej pierś mocy; tak jak człowiek w stosunku do wszechświata jest dosłownie drobiną przelotną na ziarnku piasku, bo tem są rzeczywiście i on i jego stara ziemia, ale są, są cząstkami tego wszechświata i wszechmocy. Ten nastrój powinien tętnić w całem nauczycielstwie i w całej władzy oświatowej, nastrój ufności, zgody wewnętrznej, zrozumienia, mocy i ochoty do pracy, nastrój, który leży na dnie prądu religijno-moralnego ludzkości i wszystkich wyższych religij, a który tak samo przenikał i przenika wszystkich prawdziwie wielkich myślicieli i twórców, nastrój, który jest najpotężniejszym nurtem nauki i sztuki.

3. Czegóż do tego potrzeba? Trzeba oczywiście, aby przedmioty i ich zakres były trafnie wybrane i dobrane.

Ale przedewszystkiem kształcenie studentów, przyszłych nauczycieli, w taki sposób i w takim duchu, żeby potem idei nauki szkolnej nie wykrzywiali mimowoli, tylko owszem, aby byli jej jarzącem i dobroczynnem światłem. Wiem, że łatwo tego żądać, a trudno doprowadzić do tego, ale wiem także, że inaczej, bez głębokiego i jasnego przekonania o właściwym sensie i zasadzie swej roli i bez doskonałego przygotowania nauczanie jest dla profesora albo katorgą, albo bezdusznem odprawianiem godzin, dla ucznia udręczeniem i nudą, wogóle zaś, ze stanowiska społecznego, wielką stratą i szkodą.

Przedmioty na wszechnicach stoją luźnie obok siebie, wykłady i ćwiczenia bardzo często nie dają całokształtu, profesorowie zbyt często nie troszczą się ani o swoich kolegów, ani o całość swego przedmiotu, ani o potrzeby słuchaczy, zwłaszcza tych, co mają później uczyć w szkołach średnich. Wykształcenie uniwersyteckie nie jest spojone silnym, przyrodzonym związkiem poznania ludzkiego, jasną, prostą i głęboką filozofją życia wogóle, a nauki i kultury w szczególności. W dodatku nauczyciele wszechnic, w którychby ten związek ich szczegółowej nauki z całością poznania i dążenia ludzkości tętnił żywo i dobroczynnie, są prawdopodobnie daleko rzadsi, niż profesorowie o typie fachowca z zawodowym przerostem. Dlatego też konieczna jest potrzeba podręczników uniwersyteckich, poczętych z tego ducha, skoordynowanych zarówno w stosunku do siebie, jak i do tamtych szkolnych.

4. Spisałem te uwagi z poczucia pewnego nakazu wewnętrznego i z przekonania, że rzecz jest bardzo ważna, to też pragnąłbym je poddać rozwadze i ocenie innych. Te uwagi są wynikiem długich i częstych rozmyślań i uzyskanego stąd przekonania mocnego; żałuję też, że nie umiem swej myśli wyrazić i spisać tak, aby jej cała usilność i szczerość działała bezpośredniem, żywem tchnieniem na czytelnika.

Ministerstwo oświaty wyznaje w swych programach chwalebną dążność zwalczania werbalizmu i bardzo silnie to

swoje stanowisko i wymaganie podkreśla. Ale przeładowanie nauki literaturą, a zwłaszcza rozprawami z zakresu t. zw. historji literatury i referatami literackiemi, jest zaprawianiem młodzieży do rozprawiania i pisania o rzeczach, o których przecież nic mądrego ani własnego powiedzieć nie może — prowadzi to nieuchronnie do młócenia sieczki frazesowej, do rozprawiania na wiatr, płytkości, a wreszcie zarozumiałego blagierstwa i spaczenia umysłowego, a co gorsza moralnego.

NAUKA I LITERATURA

PIEŃKOWSKIEGO — „MASKI ŻYCIA"

Po przeczytaniu „Masek życia" Pieńkowskiego zamyśliłem się głęboko. Oto ukazał się z poza kartek tej książki człowiek z krwi i kości, obrysowany wyraziście, charakter nie względny, ale bezwzględny, fanatyk nieustraszonej wojny, żarliwy i gwałtowny, subtelny ale nie miękki — człowiek, który ma swój świat myśli, swoje stanowisko wykrystalizowane i swój horyzont.

Horyzont nie ciasny, powiedzmy zgóry, a rozległy. Jednak nie widać na nim, a rzadko przynajmniej, pogody. Przeciągają nad nim zwełnione chmury burzy, rozświetla go krwawy blask błyskawicy. Słychać wrzawę bitwy, szczęk broni w boju. Pieńkowski, jako krytyk, nie usuwa się na bok, żeby spojrzeć i tylko rozumieć, gardzi uśmiechem mędrca.

Pieńkowski sam dąży do określonego celu. Kiedyś zasiadał między tymi, którzy słuchali objawień Zarathustry. I z nauki jego pozostał w nim płomień, który sam z siebie już czerpie pożywienie.

Czytając „Maski życia", nabrałem do autora sympatji. I jednocześnie przypomniał mi się zapisek, z innej okazji kiedyś na papier rzucony: Dogmatyzm wyklucza względność, względność wyklucza dogmatyzm. Kto ma poczucie względności wszystkich rzeczy, cierpi z powodu niemożności formułowania bezwzględnych, a zawsze uspakajających dogmatów. Kto ma umysł dogmatyczny, rani się zawsze o względność, podważającą dogmaty, i również cierpi z tego powodu.

Otóż Pieńkowski jest człowiekiem bezwzględnym. Jest dogmatykiem, o ile słowa „dogmatyk" nie rozumie się z przekąsem i myślą o sklerozie. Są przecież — czego właściwie nie powinno się dopiero tłumaczyć — dogmaty wspaniałe. Dogmat Pieńkowskiego, jego wiara bezwzględna, to wiara w pełnię życia i w naród. W imię tego walczy. A ponieważ horyzont jego jest szeroki i głęboki, więc miara, którą przykłada nie jest miarą krawca. I to się nieraz z rozkoszą odczuwa w jego pracy. Pieńkowski ma zapamiętałą pogardę dla wszystkiego, co jest słabe. Ta pogarda przeradza się w nienawiść do słabości. Jego krytyka jest tęsknotą do siły i potęgi.

*

Trzeba z tej strony spojrzeć na Pieńkowskiego, ażeby zrozumieć stanowisko, jakie zajmuje w stosunku do przejawów sztuki. Z niejednem można się nie godzić. Znajdą się niewątpliwie ludzie, którzy zasadniczą podejmą dyskusję o samo jego stanowisko. Tylko, że dla Pieńkowskiego nie będzie to sprawa, nadająca się do dyskusji. Nie można rozmawiać z żołnierzem, że wojna jest niepotrzebna. Pieńkowski zaś jest wojownikiem. I to właśnie na polu sztuki, które to pole rozszerza, obejmując całe życie.

*

Wojna i atak zawsze zwraca uwagę. Błędem byłoby, gdyby do Pieńkowskiego tylko z tego punktu widzenia się odnosić. Charakterystyka jego książki i jego samego byłaby jednostronna. Widzielibyśmy tylko zbroję: błyszczące i twarde stalowe pierścienie i miecz w ręku. Nie dostrzeglibyśmy twarzy pod przyłbicą, nie wyczulibyśmy serca pod pancerzem. Pozostałby nam w oku tylko sam kształt rycerskiej postaci: twardy i surowy.

Tymczasem znajdujemy w książce Pieńkowskiego rozprawy, dowodzące niezwykle głębokiej i subtelnej kultury, nadzwyczajnej i najgłębszej umiejętności odczuwania sztuki i rozumienia jej. Świetny jest szkic „Psychologja sonetu i uty". Pisany w roku 1912, charakteryzuje trafnie i mądrze wady poetów współczesnych. W zdaniu, że „żadne milczenie nie poprzedza wiersza współczesnego", mieści się najgłębszy zarzut, który można — jakże często i dzisiaj — mu uczynić. Zdaje mi się — sztuka jest rzadkiem dzisiaj wytchnieniem piszącego te słowa—że nie czytałem trafniejszego zdania o istocie sonetu, jak oto: „Psychologja sonetu i uty całkowicie nieomal spoczywa w ich przeddziejach i tam właśnie zadzierżga się węzeł twórczości i poety — węzeł tajemniczy, nikomu nieznany, nieujawniony, lecz o wszystkiem rozstrzygający".

Uwagi na ten temat odkrywają rzeczywistą głębię rozumienia sztuki przez Pieńkowskiego—i prawdziwie wielką miarę, jaką przykłada do poezji. Istotnie, jakże jest mało utworów, będących „jak kometa", której widok nasuwa myśl o przebytych przez nią niezmierzonych drogach.

Uwag w rodzaju zacytowanej dużo znaleźć można w „Maskach życia". Pieńkowski rozumie milczenie, rozumie mrok i błyskawicę, która, zapaliwszy się na niebie przez chwilę, krajobraz daleki oświetli nagle i niespodziewanie. Możnaby, snując dalej myśl Pieńkowskiego o psychologji sonetu, wogóle powiedzieć: Tylko ten, kto rozumie milczenie, rozumieć może słowo. A niewielu jest takich poetów i krytyków.

*

Jest rzeczą charakterystyczną w Polsce, że ukazanie się czy to jakiejś książki interesującej, czy rozprawy i artykułu, mija często w głuchem milczeniu. Nie mówi się o tem, a również się nie pisze. Tymczasem taka np. książka Pieńkowskiego zasługuje na to, żeby się nad nią zastanowić. Z pośród ludzi, piszących dzisiaj o sztuce w prasie polskiej, jest to jeden z najoryginalniejszych, posiadający bardzo wyrazistą fizjognomję. Fanatyczna wiara w słuszność tego, co głosi, bezwzględne formułowanie sądów, częsta ich oryginalność, zasadnicze stanowisko, na którem stoi, polegające na świadomem odnoszeniu się do sztuki jako do objawu życia, od którego nie można jej odłączyć, wszystko to sprawia, iż spotykamy w nim osobistość wyraźną, co wcale nie jest zjawiskiem czystem.

Ale dlatego właśnie rozprawy Pieńkowskiego zyskują na tem, gdy się je czyta w książce. Fejleton w gazecie codziennej, przerzucany nieuważną ręką, zatrąca zawsze wszystko, co jest trudniejsze i wymagające namysłu. Poprostu dlatego, że zwykle dziennik czyta się pobieżnie i szybko. Tedy w dzienniku fejletony Pieńkowskiego uwydatniają raczej swój charakter atakującej i nawet fanatycznej ostrości, bo atak jest najbardziej widoczny, woła i krzyczy. Za to w książce dochodzi do głosu filozofja Pieńkowskiego, jego kultura i subtelność. Filozofja jego — sam on pewnie temu nie zaprzeczy—płynie z filozofji Nietzche'go, jak to już mimochodem wspomniałem. Tak dalece, że nawet jego pewne uwagi o chrześcijaństwie stąd niewątpliwie ród swój wywodzą. Ale jest ona oryginalną próbą spojrzenia na sztukę i krytykę oczyma Zarathustry, i mam wrażenie, w Polsce jedyną. Tembardziej więc dziwne, że nie zwrócono na tę książkę uwagi, bo, chociaż to zbiór fejletonów tylko, jednak posiada jednolity charakter myślowy. Same zaś szkice raczej dokładniej dadzą się określić fran-

*) Stanisław Pieńkowski. „Maski Życia". Warszawa 1925. Nakładem księgarni Perzyński, Niklewicz i S-ka.

cuskiem słowem *„essai“*, niżeli dziennikarskiem, pobieżnem określeniem „fejleton“.

Pieńkowski mieć będzie niezawodnie swoją kartę w historji krytyki w Polsce.

JERZY DROBNIK

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Zmarły w d. 6. maja r. b. historyk Władysław Smolewski wyobrażał na katedrze Uniwersytetu Warszawskiego (1919—1926) tradycję walk o prawa duszy polskiej, którą przed wojną toczyliśmy z zaborcą w Warszawie od czasów powstania 1863 r. Śp. Smoleński był jednym z filarów, które w tych czasach dźwigały odpowiedzialność za stan świadomości dziejowej społeczeństwa. Rolę swą historjografa i nauczyciela piastował po kapłańsku. Reprezentował górność tonu życia polskiego, niezależność myśli. Czysty był i ofiarny.

Ur. w r. 1851 w pow. Ciechanowskim, dożył poważnego wieku ani chwili nie zawieszając pracy i nie opuszczając Warszawy. Świat naukowy teraz właśnie gotował się do wydawnictwa na cześć jego 50-letniego jubileuszu. Świeżo wydane jego „Studja historyczne“ (1925, Gebethner i Wolff) były ostatnią jego pozycją w bibjografji. Po wojnie wyszły jego prace w trzech tomach (Pisma). W r. 1923 wydano na nowo typową dla Smoleńskiego pracę „Przewrót umysłowy w Polsce XVIII w.“ Typową dlatego, że wierny zasadom pozytywizmu swojej epoki, hołdował „wiekowi oświecenia“, jako wyobrazicielowi trzeźwej myśli, reagującej na wychowanie zakonne. Pierwsze jego studja „Drobna Szlachta w Król. Pol.“ (1879) i „Kuźnica Kołłątajowska“ (1885) robiły w swoim czasie wielkie wrażenie wśród młodzieży, szukającej pokarmu myśli narodowej. Dobry Polak, sumienny badacz, antagonistą był historyka Sz. Askenazego.

*

W zbiorze „Encyklopedja prawa obowiązującego w Polsce“ (Poznań, Fiszer i Majewski) wydana została praca prof. Stanisława Głąbińskiego p. t. „Ustrój skarbowy Rzeczypospolitej Polskiej“. Książka ta w sposób wyjątkowo zwięzły a ścisły podaje wszystkie najważniejsze informacje, dotycząca zasad konstytucyjnych ustroju skarbowego, ustoju władz i urzędów skarbowych, kontroli skarbowości, prawa budżetowego i rachunkowości państwa i związków samorządowych, ustroju pieniężnego, Banku emisyjnego, majątku państwa, systemu podatkowego i t. d. Śmiało rzec można, iż książka prof. Głąbińskiego jest absolutnie niezbędna dla każdego, kto w sprawach skarbowych w Polsce pragnie z pewną znajomością rzeczy głos zabierać. Wdzięczność i podziw należy się prof. Głąbińskiemu, że wśród nawału pracy przywódcy największego klubu sejmowego i przewodniczącego komisji budżetowej, potrafił znaleźć czas na napisanie książki tak znakomicie opracowanej, a tak potrzebnej.

*

Piękną pracę, poświęconą doktrynie św. Tomasza z Akwinu, wydał niedawno b. rektor uniwersytetu lubelskiego O. Jacek Woroniecki. Książka ta p. t. „Katolickość tomizmu“ kładzie nacisk na jednolitość doktryny św. Tomasza, wykłada zwięźle jej zasady, wskazuje na jej źródła, ponadto zaś zawiera cenną bibjografję dzieł wielkiego filozofa i prac o nim.

Warto przypomnieć, iż w języku polskim znakomitem streszczeniem i wykładem nauki św. Tomasza jest (niestety, niedokończona) „Teologja“ X. Kazimierza Lutosławskiego, pojęta jako „wykład dla wykształconego ogółu“, której dwa tomy (Tom I: „Bóg, jako przyczyna“ i tom III: „O cnotach teologicznych“) wydane zostały w r. 1919.

*

Cenną pracę wydał znany badacz Kanta w Polsce Stefan Harassek p. t. „Józef Gołuchowski. Zarys życia i filozofji.“ Odsłania w niej mało znaną postać filozofa wileńskiego, wykazuje, jak przez racjonalizm i panteizm dochodzi on do systemu, będącego obroną indywidualności, wolności i własności. W niezbyt bogatej literaturze, dotyczącej dziejów filozofji polskiej, studium p. Harasska jest jedną z najbardziej wartościowych monografij, jakie się ostatnio ukazały.

U SŁOWIAN

W roku bieżącym upływa sto lat od ukazania się pamiętnej, pierwszej w tym zakresie, pracy uczonego słowaka P. J. Szafarika p. t. *Geschichte der slawischen Sprache und Litteratur...* (Budapeszt 1826) Wszechstronnie—jak na owe czasy—i z niezwykłą pracowitością opracowane to dzieło, obejmuje na 510 stronach wszystko, co wtedy można było powiedzieć w zakresie filologji słowiańskiej, wiadomości są usystematyzowane *„nach allen-Mundarten“* — jak głosi w dalszym ciągu tytuł. Dzieło Szafarika stanowi epokę w nauce slawistyki i przez długi czas było podstawową a jedyną pracą swego zakresu. Oprócz słowiańskich tłumaczeń ukazały się przekłady angielski i francuski — a należy zaznaczyć, że częściowo na niem opierał się i Mickiewicz w swych wykładach w *„Collège de France.“*

*

W Pradze wyszła ostatnio b. ciekawa praca J. Chmelara p. t. „Stronnictwa polityczne w Czechosłowacji“ (str. 122, także w niemiec. przekładzie, wyd. „Orbis“). Autor przedstawia historję i stan obecny stronnictw politycznych w Czechosłowacji, zaopatrując poszczególne rozdziały w tabelaryczne wykazy statystyczne. O „mniejszości polskiej (str. 99 — 101) pisze, że grupuje się ona w „Polskim związku ludowo-robotniczym“, który przy ostatnich wyborach otrzymał prawie 30 tys. głosów i na tej podstawie wysłał do parlamentu posła dr. Leona Wolfa, oraz w ugrupowaniach socjalistyczno-komunistycznych, które również posiadają jednego posła, Karola Śliwkę. Wychodzą na Śląsku 3 polskie pisma. — Autor pamięta tylko 75 tys. Polaków śląskich, nie pisze zaś nic o polskich mieszkańcach Spisza i Orawy, których jest niemal drugie tyle.

*

Znany słowianofil warszawski p. Jerzy Kurnatowski jest autorem wydanej niedawno we Frysztacie (Śląsk czeski) książki p. t. „Czechosłowacja i Czechsłowacy“. Jest to już trzecia z rzędu monografja o republice czeskosłowackiej, wydana w języku polskim; poprzednio ukazały się: praca Czernego i Dresslera — Poznań 1923 i zbiorowa praca wydana w r. ub. u Hoesicka w Warszawie p. t. „Czechosłowacja“. Książka profesora Kurnatowskiego dzieli się na dwie części: historyczną (dzieje Czech, zwłaszcza rozwój stosunków polsko-czeskich) i informacyjną (współczesna Czechosłowacja). Wartość swej dobrze pomyślanej pracy obniża prof. Kurnatowski niekiedy oryginalnem ujęciem stosunków polsko-czeskich na tle dziejowem. Krakowscy madziarofile nie mogli się też dość nacieszyć tą „czeską propagandą w Polsce“.

*

Serbowie łużyccy, mimo strasznego ucisku ze strony Niemców, żyją coraz pełniejszem życiem kulturalnem i narodowem. Na Wielkanoc b. r. odbyło się w Budziszynie 79 walne zgromadzenie ich głównej organizacji oświatowej *„Maćica Serbska“* pod przewodnictwem dra Hermanna. Po odśpiewaniu pięknego hymnu II Zejlerja *„Rjana Łužica“* wygłoszono szereg sprawozdań, następnie zaś historyk dr. Wjacsławk wygłosił nader zajmująco odczyt o Słowianach meklenburskich. „Macierz Serbska“ może pochlubić się pięknym dorobkiem na polu pracy oświatowej. Za przyczynieniem się jej wyjdzie w roku bieżącym wielki słownik Krala łużyckoserbsko-niemiecki, co dla badań języka łużycko-serbskiego będzie mieć ogromne znaczenie. Ponadto wyda obecnie Czeska Akademja wspaniały słownik dolnołużycki dra Arn. Muki p. t. *Thesaurus linguae Lusatiae inferioris Sorabicae*, którego część pierwszą (A — N) wydała w l. 1911 — 1914 Rosyjska Akademja w Piotrogrodzie. Powoli rośnie i zajęcie się sprawami łużyckoserbskiemi w Polsce, zbyt mało jednak udzielamy moralnego chociażby poparcia naszym uciskanym pobratymcom.

*

Kwietniowy (4) numer poświęconego Łużycy praskiego miesięcznika *„Cesko-Lužicky Vestnik“* zawiera następującą treść: wiersz K. Sedlácka poświęcony poecie dolnołużyckiemu M. Kósykowi, „Wspomnienia o Jakubie Bart-Cisinskim“ wielkiego przyjaciela Łużycy, Ludw. Kuby, Kronikę z życia Serbów łużyckich. Ciekawy i znamienny jest przytoczony tam artykuł *„Berl. Tageblattu“*, w którym otwarcie przyznaje się ze strony niemieckiej, że... „także w republice nie są warunki życiowe Serbów łuż. znośniejsze. Ich nieznaczne, bezwzględnie słuszne żądania odnośnie praw narodowych i językowych nie są spełnione... doszło do tego, że nauczyciele zakazali uczniom nawet w stosunkach z rodzicami mówić po serbołużycku“.

*

W Stanach Zjednoczonych objawia się dosyć silne zainteresowanie studjami slawistycznemi. № 12 *„The Slavonic Review“* podaje o tem bliższe dane. Obecnie wykłada się tam slawistykę w 41 *college*'ach uniwersyteckich. Największa część wykładów odnosi się do spraw rosyjskich. Z zakresu polonistyki mamy tylko następujące wykłady: California University, Berkeley, Cal.: prof. Noyes: język i liter. polska; Columbia Uniw. Nev York, N. S., prof. Morawski-Nawench: język i liter. polska; Harvard Univ. Cambridge, Mass.: prof. Wiener: język i liter. polska; ponadto w Tufts College, Medford, Mass., prof. Andrews wykłada m. i. ustrój państwa polskiego. Również wiele innych wykładów z zakresu porównawczej gramatyki i historji słowiańskiej odnosić się będzie także do spraw polskich.

TEATR

CYRULIK SEWILSKI

TEATR biorący nadaremno imię Wojciecha Bogusławskiego wystawił w ubiegły piątek „Cyrulika Sewilskiego“ o dekoracjach i kostjumach — futurystyczno-ekspresjonistycznych.

Wbrew najoczywistnym intencjom autora, który w komentarzach do „Cyrulika“ wyraźnie zaznaczył, jak pragnie mieć dzieło swoje wystawione, określając szczegółowo krój, barwę a nawet materjał każdego niemal kostjumu — kierownictwo teatru imienia Bogusławskiego zdecydowało, że akcja „Cyrulika Sewilskiego“ powinna się odbywać nie w Sewilli lecz — na Marsie, Suturnie czy też zgoła na księżycu. Styl zastąpiono modą. Banmarchais'ego potraktowano równie po barbarzyńskn jak w swoim czasie Szekspira i Wyspiańskiego.

Bezceremonjalność inscenizatorów posunęła się do tego stopnia, że poprzekręcali tekst i upstrzyli go własnemi konceptami. Skutek był taki, że po każdym akcie publiczność rzedła. Oburzeni widzowie wymykali się raz po raz i uciekali do domu, gdzie długo jeszcze w nocy trapiła ich migrena.

„KRÓL DAGOBERT"

„KRÓL Dagobert“ Rivoire'a, grany w Teatrze Polskim, należy po tej samej kategorji widowisk, co wystawiane w swoim czasie „Odrodzenie“, jest może odrobinę lepszy. O ile „Odrodzenie“ robiło wrażenie uinscenizowanego oleodruku, o tyle „Dagobert“ przypomina plansze z gwiazdkowego zeszytu „*Illustration*“. Napisany był wprawdzie niedawno, ale ma wszystkie cechy epoki przedwojennej, w której rozmaite Zamaçois'y kontynowały manierę Rostanda. Dziś uprawia ją jeszcze syn wielkiego akademika, wypisujący potoczystym, wodnistym wierszem romantyczne dramidła w stylu powieści Dumasa ojca. Pan Rivoire pozazdrościwszy sukcesu autorowi „Żelaznej Maski“, zastosował tę samą manierę do swojej komedji o Królu Dagobercie. Zyskałaby ona wiele, gdyby ją autor zamknął w trzech aktach. Utworek ten, zalecający się głównie zgrabnością wiersza (dobrze przełożonego przez pana Kleszczyńskiego) grzeszy brakiem poezji, banalnością i nieprawdopodobieństwami natury logiczno-psychologicznej, Pomimo to jednak utwór pana Rivoire'a nie jest w stanie obrzydzić nam ani trochę przemiłej piosenki *de bon roi Dagobert qui a mis sa culotte à l'envers* — ponieważ niewiele ma z nią wspólnego.

Teatr Polski wystawił sztukę bardzo pieczołowicie, dając jej śliczne dekoracje i znakomitą obsadę. Pp. Stanisławski, Malicka i Boehlke zbierają w rolach naczelnych oklaski zasłużone.

SIGMA

NA MARGINESIE

W Warszawie począł wychodzić tygodnik „Ster“, poświęcony „sprawom państwa i narodu“. W odezwie, na czele umieszczonej, redakcja zapowiada, że organizować będzie świadomość obywateli i ich dobrą wolę do czynu, któryby zdołał pchnąć Państwo na tory świetnych naszych tradycyj „państwowych“ (dawnych, czy powojennych)? Pismo chce być ośrodkiem siły twórczej „państwowo-narodowej“, dalekim od egoizmu partyjnego i osobistego, oraz demagogji. Za punkt wyjścia bierze przeświadczenie, że są w społeczeństwie jednostki niezużytkowane, których działanie mogłyby być zbawcze dla odrodzenia społecznego. Wierze tej daje wyraz w artykule naczelnym b. premjer prof. Antoni Ponikowski: „Czy Polsce brakuje ludzi“? I odpowiada: „ludzi mamy poddostatkiem. Trzeba tylko, aby i oni sami nie usuwali się w cień i ich nie spychano w szary tłum“.

To jest jedyne konkretne hasło „Steru“, jednak w okresie wyborów i to hasło znajdzie się na czele wszystkich odezw wyborczych. Poza nazwiskiem prof. Ponikowskiego niema w pierwszym zeszycie żadnego innego, któreby na mapie politycznej coś oznaczało. Prof. Ponikowski należy do formacji owego Centrum, które na ostatnich wyborach przepadło. Ale być może w piśmie znalazł się jako technik naukowy. Trudno wymiarkować, ile że nigdzie nie podano, kto jest wydawcą i redaktorem pisma; jedynie tylko zarekomendowano nam nazwisko autora rysunku na okładce. Jest nim p. L. Gardowski.

*

„Wiadomości Literackie“ zamieściły w ostatnim numerze entuzjastyczny wywiad-reklamę z „młodym dramatopisarzem niemieckim“, niejakim Bertoldem Brechtem. Reklama, jak zwykle, gołosłowna, bez podania jakichkolwiek dowodów siły talentu czy umysłu, opatrzona zato dwiema dużych rozmiarów fotografjami. W wywiadzie uderza fragment następujący:

„— Czemuż nie spróbuje się pan skomunikować z którymś z teatrów polskich?

— Tak — mówi Brecht, którego niepodobna odwieść od przekonania, że Warszawa leży w Pradze, stanowiącej, wedle jego przekonania, w obecnym ustroju, odrębne i niepodległe państwo, — słyszałem, że w Pradze są dobre teatry“.

Hola! Cóż znaczą te kpiny?! Można zrozumieć, że nie jest dostatecznie o Polsce poinformowany jakiś Hindus lub Nowozelandczyk, można przypuścić daleko posuniętą ignorancję spraw polskich u Anglika, dla którego niekiedy zagadnienia Afryki środkowej mogą być bliższe, niż zagadnienia środkowej Europy. Ale skądże u Niemca taka poza? U Niemca, którego państwo sąsiaduje z Polską na przestrzeni od Bałtyku do Sudetów, który z Berlina odległy jest od polskiej granicy o trzy godziny jazdy koleją? P. Brecht pozwala sobie podrwiwać z Polski w sposób wyjątkowo bezczelny...

Trzeba doprawdy semickiego organu p. Grycendlera, żeby tak arogancką deklarację lekceważącej wyższości wobec Polski uprzejmie drukować. I trzeba, aby wywiad z p. Brechtem przeprowadzała p. Regina Reicherówna, żeby na drwinę swą wesołek niemiecki usłyszał pełną sympatji odpowiedź: „Warszawa to jest stolica Polski, a Praga należy jeszcze do Czech... Ale to nic nie szkodzi“. (!!!)

*

„Zarówno ilością eksponatów jak powagą (!) dążności wyróżnia się Kramsztyk, którego twórczość pogłębiła się (!) bardziej jeszcze (!) przez czas ostatniego pobytu w Paryżu: jego świetny (!) „Krajobraz z Katalonji“ jest właśnie (!) owem szczęśliwem (!) połączeniem klasycznie (!) pojętej formy z niezwykłemi (!) zaletami (!) bogatej (!) żywej (!) faktury, do którego zmierzać się zdaje (?) sztuka dzisiejsza. W głęboko (!) przestudjowanym (!) Senegalczyku...“ i t. d.

Taką reklamę trzeciorzędowemu malarzynie żydowskiemu, znanemu z niezwykle brudnego kolorytu, robi w ostatnim (19) numerze „Tygodnika Ilustrowanego“ drugi semita, recenzent malarski tego pisma p. Wacław Huzarski. Solidarna rasa!

*

Dowiadujemy się, że od pierwszego lipca b. r. opuszcza stanowisko radcy ambasady Polskiej w Paryżu p. Szembek, aby uczynić je wolnem dla p. Łukasiewicza, dyrektora politycznego M. S. Z. P. Szembek, wykształcony ekonomista, człowiek wysokiej kultury umysłowej i towarzyskiej, stał na czele komisji rozgraniczeń polsko-niemieckich w czasie plebiscytowym i jest rzeczą jasną, że jego powszechnie pod tym względem uznawana kompetencja staje się dzisiaj specjalnie ważna. P. Łukasiewicz, nieukończony student pierwszego roku chemji, bez wyższego wykształcenia, zajmował ongi stanowisko sekretarza p. Lednickiego w Moskwie, jest autorem polsko-litewskiego układu w Suwałkach, żarliwym obrońcą Locarna i prelegentem od owej sprawy w Wolnej Wszechnicy. Samo to zestawienie kwalifikacji powinno wystarczyć. W M. S. Z. panuje wprawdzie opinja, wśród dygnitarzy tego pokroju jak pp. Łukasiewicz i Bader, że społeczeństwo nie powinno wtrącać się do nominacyj, które należą tylko do ministra. Opinja ta dla niektórych panów jest bardzo wygodna, ale niekoniecznie słuszna. Nominacje należą do ministra, lecz społeczeństwo ma prawo oświadczyć, do kogo posiada, a do kogo nie posiada zaufania. Prócz tego specjalnie nam musi zależeć, aby tej stolicy cywilizacji, jaką jest Paryż, nie zarzucać z naszej strony tandetą, która, jak wszędzie, dobry wypycha towar. Nie może się nam podobać ani p. Aubac na katedrze w Sorbonie, wykładający polską politykę, ani p. Łukasiewicz na fotelu radcy w Polskiej Ambasadzie.

Nr. 20 „Myśli Narodowej“ był w swoim czasie oddany na prasę, gdy zaczęły się w Warszawie wypadki, które udaremniły pracę. Uzupełniwszy niektóre stronice materjałem, do wypadków rzeczonych nawiązanym, wypuściliśmy zeszyt jako nr. 20 i 21. Zeszyt z polecenia władz skonfiskowano. Zawiadamiamy o tem w celu usunięcia nieporozumień, w numeracji bowiem, zeszyt ten musi nosić nr. kolejny 22 (zeszyt 20 i 21 uważać należy za niebyły).

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI   Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.   PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM